Rok I. **Grudzień 1916.** **Nr. 10.**

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata za jedno półrocze kor. 9. — Cena numeru pojedynczego 2 korony (2 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. — Czek P. K. O. 139.429.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo w Warszawie: Księgarnia Gebethnera i Wolffa — na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Redakcya otwarta w czwartki od godz. 5—6 popoł., ul. J. Dunajewskiego 1, I. p.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13-15.

Rok I. Grudzień 1916 r. Nr. 10.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

Henryk Sienkiewicz.

W historyi literatury polskiej imię Sienkiewicza pozostanie raz na zawsze, i to nie tylko jako największego powieściopisarza polskiego, ale także wogóle jako jednego z największych pisarzów, jednego z najpotężniejszych władców słowa, jakich miała Polska przez wszystkie wieki istnienia swojej literatury. W wieku XVI Kochanowski, w XVIII Krasicki, w XIX Mickiewicz. Słowacki i Krasiński: oto grono, które powiększa Sienkiewicz.

A w historyi literatury powszechnej, czy mu się także tak zaszczytne miejsce należy? Bez cienia wątpliwości.

Prawda, gdyby jedyną miarą przynależności pisarza do literatury powszechnej było stworzenie jakiegoś nowego rodzaju literackiego albo pchnięcie istniejącego już rodzaju czy prądu na zupełnie nowe tory, to Sienkiewicz nie miałby prawa być zaliczonym do wszechświatowych pisarzów: nie stworzył bowiem żadnego nowego rodzaju powieści ani noweli, brał z literatury, już to ojczystej, już obcej, rodzaje gotowe, posługiwał się dawnemi formami, dawnymi pomysłami, dawną techniką; nie byłoby prawdopodobnie *Ogniem i Mieczem,* gdyby już przedtem nie było w Anglii Walter-Scotta, we Francyi Dumasa, a w Polsce Rzewuskiego i Kraszewskiego; nie byłoby może i *Bez dogmatu,* gdyby już przedtem nie było w literaturze francuskiej powieści psychologicznej, zwłaszcza Bourgeta. Tak, ale czy tylko stworzenie nowego rodzaju literackiego lub nowej formy daje pisarzowi prawo wejścia do panteonu literatury powszechnej? Ależ, gdyby tak było, toby

tego prawa nie miał ani Sofokles, ani Wirgiliusz, ani Szekspir, ani Schiller, ani Mickiewicz, ani tylu innych jeszcze wielkich poetów! Bo, jak tego uczy historya literatury powszechnej, wielki talent, a nawet geniusz nie ugania się pospolicie za nowościami: bierze formy gotowe, stworzone bardzo często przez talenty mierne, ale napełnia je nową treścią, to znaczy własnym talentem. Wielkość talentu — to jest dopiero właściwa miara i największe prawo przynależności pisarza do literatury powszechnej, jeżeli się przez nią będzie pojmowało zbiór takich tylko pomników słowa, które mają wysoką artystyczną wartość.

Otóż Sienkiewicz to prawo ma, i to tak wielkie, tak słuszne, tak mocne, jak niewielu powieściopisarzów całego świata. Jest wielkim artystą, artystą z bożej łaski. Od samego zarania swojej pracy twórczej jaśniał nie tylko ogromną zdolnością postrzegania rzeczywistości, zdolnością, bez której niema i nie może być wielkiego powieściopisarza, ale zarazem bujną i żywą fantazyą, bez której się powieściopisarz nigdy nie wzniesie na wyżyny poezyi, nigdy też nie będzie mógł szukać natchnienia i treści do swej twórczości w dawnych, zamierzchłych czasach. I już od wczesnej młodości posiadał Sienkiewicz talent nadawania swoim wizyom artystycznym plastycznego wyrazu, wszystko jedno, co było ich przedmiotem, czy natura, czy wypadki, czy dusze i charaktery ludzkie. Z czasem ten talent stanie się wielkim, wręcz genialnym i, oprócz cudownie pięknych opisów natury, wyda tak wielkie, wszechświatowe arcydzieła plastyki poetyckiej, jak w *Ogniem i mieczem* śmierć męczeńska Podbipięty, w *Potopie* uczta u zdrajcy Radziwiłła, w *Krzyżakach* śmierć samobójcza Zygfryda, w *Quo vadis* uczta u Nerona i walka Ursusa z bykiem, i tyle, tyle innych, w których się piękno i moc słowa polskiego wzniosły, nie tracąc nigdy swej prostoty, na wysokości wręcz fantastyczne. A w genialnem tworzeniu żywych ludzi, kto Sienkiewicza przewyższył? Ten znakomity powieściopisarz angielski, którego on tak bardzo — już nie lubił, ale — kochał, że mu się na samo imię jego twarz rozpromieniała, Dickens, posiadał tę sztukę w bardzo dużym stopniu, ale cóż, kiedy umiał tworzyć, jeśli nie wyłącznie, to nadewszystko ludzi tylko przeciętnych, albo też dziwacznych; niektóre z jego postaci, zwłaszcza kobiece, mają poezyę duszy (zwłaszcza prześliczna Agnieszka), ale wielkości duszy, a cóż dopiero heroizmu, nie szukać w galeryi jego postaci. Tymczasem

jednym z największych tytułów Sienkiewicza do wielkości jest nieprzejrzana różnorodność duchowa jego postaci. Wszystko jedno, w jakich czasach ludzie jego żyją — czy w dobie współczesnej, czy w starożytności, czy w wieku XV., czy XVII., — wszystkie mają zawsze swoje własne i twarze i ruchy i głowy i serca i słowa. Z równie wielką prawdą, jak z artyzmem, umiał Sienkiewicz tworzyć dusze młode i stare, małe i wielkie, pospolite i bohaterskie, samolubne i ofiarne, dobre i złe, proste i zawiłe, zdrowe i chore, szczęśliwe i nieszczęśliwe. Z jednej strony Rzędzian, Połaniecki i Pławicki, a z drugiej Skrzetuski, Wołodyjowski i Kmicic; z jednej Zagłoba, a z drugiej Jurand; z jednej Ursus i Podbipięta, a z drugiej Petroniusz i Płoszowski; Oleńka i Basia obok Anielki i Maryni; Litka i Danusia obok pani Broniczowej i panny Castelli; pani Emilia obok Jagienki: czy dużo jest w literaturze całego świata powieści, któreby posiadały tak wielkie bogactwo różnorodności i kontrastów? I, kto wie, gdyby kto zadał sobie trud zastanowienia się, czy który z wielkich pisarzów europejskich dorównał Sienkiewiczowi w tem iście królewskiem bogactwie kreacyi artystycznych, możeby nawet po przejrzeniu Balzaca i Tołstoja doznał rozczarowania i pożałował, że nie sięgnął odrazu po Szekspira (który, mówiąc nawiasem, już do młodzieńczej wyobraźni Sienkiewicza przemawiał niezmiernie żywo, z którego utworami i później prawie się nigdy nie rozstawał, podobnie jak z *Iliadą*, a zwłaszcza *Odyseą* Homera).

Już po ukazaniu się pierwszych nowel Sienkiewicza krytyka nazwała go realistą. I słusznie: jest on istotnie realistą, jednym z największych w literaturze powszechnej. Tylko co kto pojmuje przez realizm. Jedni nazywają realistami tych tylko powieściopisarzy, którzy odtwarzają wiernie realną prawdę życia; inni nie odmawiają tego miana i tym, którzy tej prawdy nie odtwarzają, tylko ją przetwarzają, ale tak, że czytelnik ma złudzenie realnej prawdy życia. Słuszność jest, naturalnie, po stronie tych innych. Prawdziwą sztuką jest tylko ta, która nie o d twarza, ale p r z e twarza rzeczywistość; jeżeli realizm chce stworzyć dzieło sztuki, musi być realizmem a r t y s t y c z n y m, musi być syntezą prawdy i piękna, albo, jeśli kto woli, harmonią rzeczywistości z ideałem. Realizm bez piękna, bez ideału, przeradza się, a raczej wyradza w naturalizm. Otóż realizm Sienkiewicza jest w całem znaczeniu tego wyrazu realizmem artystycznym, nie naturalizmem, do którego już

w młodości żywił odrazę. Miał lat dziewiętnaście, kiedy w liście do przyjaciela napisał te niezmiernie znamienne słowa:

„Jeżeli teraz jeszcze nie mam dosyć siły, to ją mieć „muszę, a zdobędę ją przez ciągłą pracę nad sobą, przez „ciągłą walkę wewnętrzną, która zahartuje moją wolę i po„stawi silnym do walki na śmierć i życie, jaką kiedyś pra„gnę podjąć w imieniu idealizmu... Chcę... walczyć w imie„niu tego, co nazywają idealnem, pięknem i dobrem... Proza... „życia musi pociągnąć wiele złego, wiele brudu i głupoty — „dlatego, powtarzam, chcę walczyć przeciwko takiemu życiu“.

Zdawałoby się, że to wcale nie program realizmu, że to, przeciwnie, walka z nim. Ale dalej:

„Nie pragnę jednak rozegzaltować ludzkość, ażeby pie„nia poetów na pierwszym kładła planie, a nie zważała na „nędzę fizyczną, nie! tego nie chcę,... ale chcę coś idealniej„szego, coś szlachetniejszego pierwiastku przymieszać do co„dziennego, tak zwanego praktycznego życia... Te dwa światy „chcę pogodzić naprzód, a może nawet jedynie, w sobie; „czy mi się to uda, Bogu wiadomo“ [1].

Upłynęło pół wieku od napisania tych słów, i dziś już nie tylko Bogu, ale i ludziom wiadomo, że mu się to udało — i to nie tylko w sobie, ale i w tem, co stworzył — jak oprócz niego żadnemu z powieściopisarzy naszych. Nikt inny nie umiał tak harmonijnie godzić z sobą dwóch światów, rzeczywistości i ideału; nikt inny nie umiał osiągnąć w tym stopniu, co on (nie zawsze, naturalnie, ale w pewnych chwilach swojej twórczości) tej „równowagi między pierwiastkami piękna a prawdy“, którą on w swoich słynnych *Listach o Zoli* poczytał za miarę arcydzieł sztuki. Wszystkie jego postaci mają w sobie prawdę życia, to znaczy, że niema wśród nich ideałów. Ale zupełnie co innego nie być ideałem, a co innego nie mieć ideału w sobie: nosić ideał w duszy jest także rzeczywistością. I ma słuszność Sienkiewicz, kiedy mówi, że „wymagania w duchu ludzkim czegoś wyższego, wznioślejszego są także objawem natury ludzkiej, zatem czemś równie rzeczywistem, jak głód i pragnienie“. A jeżeli tak, to wolno i realiście

[1]) Stefan Demby, *Fragment z życia Sienkiewicza (Kuryer Warszawski* r. 1916, nr. 321).

tworzyć ludzi, złożonych nie tylko z głodu, pragnienia i innych potrzeb fizycznych, ale także z owych „wymagań... czegoś wyższego, wznioślejszego“. I z tej wolności korzystał Sienkiewicz obficie, a ponieważ sam przez całe życie nosił ideał w swej duszy, więc korzystać umiał: w jego najwyższych kreacyach artystycznych prawda życia łączy się z pięknem, a poprzez mrok i szarzyznę rzeczywistości prześwieca światło i blask ideału; i, gdyby kto pod tym względem w naszej powieści szukał porównania z Sienkiewiczem, toby go tam także nie znalazł i musiałby sięgnąć znacznie wyżej, a nawet bardzo wysoko, bo aż do *Pana Tadeusza*, który jest jednem z najgenialniejszych rozwiązań problematu realizmu artystycznego, jakie zna literatura całego świata.

Zarzucano czasem, a nawet wyrzucano Sienkiewiczowi, że, mając tak wielki, tak genialny talent realistyczny, nie tworzy w swoich powieściach pełni życia, że się boi np. jego strony smutnej, że unika tematów społecznych, że w swoim poglądzie na świat jest tanim optymistą; znaleźli się nawet i tacy, którzy go pomawiali o apoteozę wszystkiego, co przeciętne.

Cóż na to poradzić! Niezgłębiona jest wielkość Pana Boga w różnorodności stworzeń Jego, a papier jest cierpliwy...

Sienkiewicz boi się smutnej strony życia! A tragedya Rzepowej? a krwawa ironia dziejowa bitwy pod Gravelotte? a *Latarnik?* a *Pamiętnik poznańskiego nauczyciela?* a tragedya duszy Płoszowskiego i nieszczęście Zawiłowskiego Anielki? a śmierć Litki? a tragedya dziejowa Polski w XVII. wieku? a prześladowanie chrześcijan?

Tematy społeczne, prawda, w epoce najświetniejszego rozkwitu talentu, to znaczy w epoce powieści historycznych, nie pociągały Sienkiewicza: ale czy to zarzut? czy przyszło komu kiedy na myśl zarzucać Prusowi, że prócz Faraona nie pisał powieści historycznych? czy ma kto żal do Kiplinga, że bardziej od ludzi pociągają go zwierzęta?

Nie, tylko niechęć i stronniczość mogły się zdobyć na podobne zarzuty!

Optymistą, rzeczywiście, był Sienkiewicz, ale nie był to wcale optymizm tani, nie był owocem zamykania sobie oczów i uszów na łzy i jęki ludzkie. Sienkiewicz nigdy nie był ślepy na smutki życia, ale nie był także głuchy na jego radości, a przedewszystkiem miał głęboką, mocną i żywą wiarę, że, pomimo łez

i jęków, życie ma jednak sens i wartość, że cierpienie jest jego pierwiastkiem nie tylko koniecznym, ale i potrzebnym. I to szczęście dla nas, że miał taką wiarę: pomyśleć sobie tylko, czyby to naszym duszom na zdrowie wyszło, gdyby je najpoczytniejszy ze wszystkich pisarzów poił pesymizmem i zwątpieniem, zamiast wlewać w nie wiarę w życie! Niech będzie błogosławiony optymizm Sienkiewicza!

Apoteoza przeciętności! A tak, wśród postaci, powołanych do życia przez jego twórczą fantazyę, niema ani jednego „nadczłowieka“, któryby np. poczytywał Golgotę za legendę, a ideał chrześcijański miłości za słabość ducha i głupotę, albo któryby drwił sobie z obowiązków względem człowieka i ojczyzny, albo któryby zbrodnią i rozpustą stwierdzał swoje nadczłowieczeństwo, a w orgii zmysłów i alkoholu szukał absolutu i nieskończoności! Są za to tak bardzo przeciętni ludzie, jak Skrzetuski, który nie chce słyszeć o własnem szczęściu, póki ojczyzna nieszczęśliwa; albo jak Kmicic, który, kiedy go opętała pokusa, żeby już nie iść na wojnę, rzucił się na ziemię i „krzyczeć jął w przerażeniu: Jezu, nie karz! Jezu, zmiłuj się! Bądź wola Twoja! Już pójdę, pójdę!“, „ano jeszcze tę ziemię kochaną ucałuję, ano jeszcze nóżki Twoje krwawe ścisnę... i idę, Chryste, idę!“ — i poszedł; albo jak Wołodyjowski, który, uczyniwszy ślub, że złoży życie na ofiarę ojczyźnie, oswaja z tą myślą swoje biedne, ukochane, zalewające się łzami i tulące się do niego stworzenie: „Pamiętaj, Baśka: nic to!“; albo jak Jurand, który dla miłości Chrystusa puszcza wolno podłego Krzyżaka, co go oślepił i okaleczył; albo jak Glaukus, który, kiedy wśród straszliwych męczarni, płonąc żywym ogniem, jako pochodnia Nerona, usłyszał wołanie swego kata: „Glauku, w imię Chrystusa, przebacz!“, odpowiedział: „Przebaczam!“, a kat „rzucił się na twarz, wyjąc jak dziki zwierz i nabrawszy ziemi w obie garści, posypał sobie nią głowę“, a potem wstał, odwrócił się ku tłumom i zaczął nie wołać, ale krzyczeć: „Ludu rzymski! na moją śmierć przysięgam, że oto giną niewinni, a podpalaczem jest — ten“, „i wskazał palcem na Nerona“. Oto przeciętność Sienkiewicza!... Dobrze, ale *Rodzina Połanieckich?* czy nie słusznie jej zarzucano, że jest apoteozą ludzi przeciętnych albo i mniej niż przeciętnych? Kłamstwo! Pomawiać o to Sienkiewicza mogła tylko albo zła wola albo rozpaczliwa nieudolność, zupełny brak zmysłu krytycznego: kto ma oczy, ten nawet

bez okularów zobaczy, że Sienkiewicz wcale przeciętności nie apoteozuje.

Nie, nazywać Sienkiewicza heroldem „przeciętności narodowej, niezdolnej do napinania uczuć, do wyższych wzlotów myślowych“ [1]), mogą jedynie ci, którzy — jedno z dwojga — albo nie są wogole zdolni do odczuwania wielkości ducha, albo też ci, dla których powieści historyczne Sienkiewicza są tylko... „najpyszniejszemi bajkami, jakie literatura polska posiada“ [2]). To trudno. Dla ogółu polskiego, to znaczy dla tych, którzy czują naprawdę po polsku, powieści historyczne Sienkiewicza, jak nie były i nie są, tak nigdy nie będą bajkami, były za to, są i będą najpiękniejszą, najdroższą poezyą, na jaką się literatura polska w drugiej połowie XIX. wieku zdobyła.

Tak, poezyą. Bo Sienkiewicz, to nie tylko wielki powieściopisarz, wielki prozaik, ale także poeta. Kto złożył do skarbca literatury tak cudowne perły, jak *Janko muzykant, Latarnik, Niewola tatarska, Bądź błogosławiona, Na Olimpie,* śmierć Podbipięty, pogrzeb Danusi, ten jest chyba poetą. I znowu pytamy: czy się chociaż jeden z powieściopisarzów naszych, dawniejszych czy dzisiejszych, może pod tym względem równać z Sienkiewiczem, jeżeli już nie wielkością, to przynajmniej różnorodnością wartości poetyckich? Jeżeli z czasem nasza krytyka głębiej i pilniej, niż dzisiaj, będzie badała w utworach literackich walory estetyczne, to zdumieje na widok ich nieprzebranego bogactwa w powieściach Sienkiewicza. Ten sam poeta, który stworzył postać Zagłoby i napisał *Tę trzecią,* ten sam, który jest obok Fredry największym humorystą polskim, stworzył cały szereg postaci i sytuacyi wzruszających do łez i tragicznych; w jego powieściach jest nie mniej wdzięku, jak wzniosłości, zarówno groźnej i ponurej, jak podniosłej, wlewającej w serca otuchę i wznoszącej je *ad astra,* nie mniej piękna plastycznego, zmysłowego, jak idealnego, uduchowionego, nie mniej poetycznego liryzmu radości życia, jak jego smutku.

Lecz nie współczesne życie było dla Sienkiewicza najpotężniejszem źródłem natchnienia poetyckiego, nie widział w niem bowiem tego pierwiastku, bez którego nie rozumiał wielkiej poe-

---

[1]) Feldman, *Współczesna literatura polska* (wydanie 5., Lwów 1908), str. 194.
[2]) Tamże, 195.

zyi: wielkości. Często przytaczał z Asnyka, który należał do najulubieńszych jego poetów, te strofy z wiersza *Poeci do publiczności:*

Lecz dziś gdzie znaleźć jaki sztandar wielki,
Któryby porwał małoduszne zgraje?
Wszechwładnej niegdyś cudów rodzicielki,
Młodzieńczej wiary, świat już nie wyznaje;
Nikt się nie zwraca do tej karmicielki,
Co sercom ludzkim wieczną młodość daje, —
I nie zostało nic z anielskich wizyi
Prócz niedowiarstwa albo hypokryzyi.

— — — — — — — — — — — — — —

Miłość ojczyzny!... Staroświeckie tema
I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem;
Zewsząd mu krzyczą wielkie anatema,
Pokryte słodkim świętoszków lamentem:
Więc, żeby wznawiać rzeczy, których niema,
Trza być półgłówkiem, albo też studentem,
I z Don Kiszotem błądzić po manowcach,
By kruszyć kopie na spłoszonyzh owcach.

Otóż najwięcej poezyi Sienkiewicz widział w tych właśnie rzeczach, „których niema"; całą potęgę swoich orlich skrzydeł uświadomił sobie dopiero wówczas, kiedy zaczął szybować nad przeszłością swojej ojczyzny. A wtedy zagrał na strunach jej miłości i chwały tak wspaniale, jak nikt w Polsce od śmierci romantyków, i wtedy wskrzesił jej przeszłość tak poetycznie, jak nikt od śmierci Słowackiego.

I to jego największy czyn, największa ze wszystkich zasług. Za ten czyn właśnie ukochał go naród i będzie kochał zawsze, chyba że się sprzeniewierzy swemu duchowi polskiemu. Nie zapomni mu nigdy, że w czasach bardzo smutnych on wlewał w niego „nowe ducha siły", że w epoce, kiedy duszy narodowej groziło bardzo poważne niebezpieczeństwo, on jej bronił i — obronił.

Było zaś to niebezpieczeństwo dwojakie: jedno z wewnątrz, drugie z zewnątrz, jedno, jakby powiedział Skarga, domowe, a drugie postronne.

Smutne były dusze polskie po roku 1863. Ogarnęło je zwątpienie już nietylko co do przyszłości, ale i co do przeszłości. Nie wierzono już dawnej odpowiedzi na bolesne pytanie: dla-

czego?, które sobie głowy i serca polskie od końca XVIII. wieku zadawały. Dawniej mówiono sobie: Polska upadła dlatego, że jest narodem wybranym, ofiarą dla odkupienia grzechów i podłości Europy, że zmartwychwstanie i całemu światu zaśpiewa pieśń szczęśliwą. Teraz ta wiara ustąpiła miejsca przekonaniu, że wszystko, co się stało, stało się z własnej winy. I chciano poznać te winy, żeby się z nich poprawić, żeby znaleźć drogę ratunku. Znajdowano ich tyle i tak strasznych, że serca aż zadrżały: jakto? więc ta dawna, święta, ukochana Polska nic nie warta? Oto pierwsze niebezpieczeństwo, domowe: gmach przyszłości można budować tylko na fundamencie przeszłości, na niczem więcej, więc jakże go budować, jeżeli w jego fundamencie niema ani jednej niezepsutej cegły? A do takiego właśnie wniosku doprowadzały nieraz badania historyczne po roku 1863. Nikt nie przeczy, że one przyniosły nam dużo, bardzo dużo pożytku, że uleczyły nas z przesadnego mniemania o naszej przeszłości; ale, że się posuwały zbyt daleko w jej krytyce, że w pogoni za cieniami nie widziały świateł, że tych samych cieniów, co u nas, nie widziały w innych krajach, to także nie ulega wątpliwości. Wiersz Asnyka na *Historyczną nową szkołę* jest paszkwilem: ale nie jest paszkwilem to, co Asnyk mówi w innym utworze, napisanym dla uczczenia dwudziestej piątej rocznicy powstania 1863 roku, że za grzechy tego roku

Polskę z mieczem w dłoni
Z szat obnażono, jak jawnogrzesznicę,
I urągano, że praw swoich broni
I z ran szydzono i plwano jej w lice
I z czci ją chciano odrzeć do ostatka,
Jakby to była nie ich własna matka.

Jako charakterystyka nowej szkoły historycznej, są to słowa nazbyt silne: nikt z jej twórców nie znęcał się nad Polską, nikt nie plwał jej w lice; ale jako wyraz tego, co się we wrażliwych duszach polskich dziać musiało, kiedy je pojono jednostronną krytyką przeszłości narodowej, te słowa są prawdą. Prawdą także jest, że po roku 1863 przyszło nowe pokolenie, które

W twardej nieszczęścia urobione szkole,
Zrzekło się marzeń zdradliwych słodyczy;

Krępuje skrzydła młodości sokole,
W każdym porywie z siłami się liczy.
— — — — — — — — — — —
Spragnione prawdy, za nią jedną goni,
Choćby nią miało zatruć czyste zdroje;
Gdyż pragnie świeżej doszukać się broni,
Z którąby mogło przyszłe staczać boje, —
A w tej pogoni stopą nieoględną
Depce wawrzyny, co na grobach więdną.

Na ten widok oburzała się dusza Sienkiewicza, krwawiło mn się serce, a i myśl się buntowała przeciwko niedocenianiu przeszłości narodowej. I kiedy Włodzimierz Spasowicz nazwał jej kult kanonizowaniem jawnogrzesznicy, Sienkiewicz zaprotestował przeciwko temu z energią, na jaką mu tylko pozwoliła cenzura moskiewska w Warszawie: „Chrystusować przeszłość jest przesadą, — pisał — ale nazwać ją jawnogrzesznicą jest nie mniejszą, i, choćbyśmy się zgodzili na to, że dzięki mesyanizmowi mieliśmy głowę w obłokach, to drugi kierunek może przez niebaczność wytrącić nam podstawę z pod nóg".

Ale tę podstawę z pod nóg wytrącali nam nadewszystko nasi wrogowie, a głównym środkiem tej szatańskiej roboty była obca szkoła. Szkołę rosyjską sam Sienkiewicz scharakteryzował w tych słowach: „Język polski uczyniono nieobowiązującym i zaczęto go wykładać narówni z innymi przedmiotami po rosyjsku; powprowadzano idyotyczne podręczniki, w których można znaleźć takie np. wiadomości, że Wiedeń oswobodzili od najścia Turków kozacy; poczęto karać za każde słowo polskie, wymówione w murach szkolnych, jak za przestępstwo; lżono przeszłość polskiego narodu, jego czyny i jego historyę; urągano językowi; poniewierano wszystkiem, co mogło być polskiemu dziecku blizkiem i drogiem, i wypędzano ze szkół za najmniejszy protest przeciw tej codziennej ohydzie;... szkoła stała się wprost katownią i nieszczęściem społecznem, tragedyą dla wychowańców". Wiemy wszyscy, i najkrytyczniejsza historya temu nie zaprzeczy, że w tych słowach niema ani źdźiebełka przesady,

W takiej to epoce Sienkiewicz, który dotychczas rozpraszał swój wielki talent na nowelle i felietony literackie uczuł, jak sam wyznaje, „niesmak do nowelek, do bohaterów-liliputów, do rozczulania się na kwincie za cienko brzmiącej“ [1]. Powiedział sobie: dosyć tego — i postanowił uderzyć w inną strunę, bohaterską.

Miłość przeszłości wyniósł Sienkiewicz z domu rodzicielskiego, i od małego dziecka rycerska przeszłość Polski wywierała nań jakiś magiczny wpływ. Jak sam opowiada, był w pierwszej klasie gimnazyalnej, kiedy w katedrze św. Jana w Warszawie nie mógł oderwać wzroku od pomników, portretów, a zwłaszcza posągów rycerzy w zbrojach: „Sam nie wiem, czy od tych rozmaitych pamiątek, od tych portretów, od tych pomników, od tych marmurowych twarzy, nie wiał na mnie wówczas wiatr minionych wieków sławy, siły, wolności — i nie nanosił tych ziarn, które długo leżały mi w duszy, zanim wyrosły z nich moje powieści historyczne“ [2]. Wyrosły nareszcie, a plon — to jest rzeczą pewną — przyspieszyła jednostronna krytyka naszej przeszłości, podjęta przez grono historyków polskich po roku 1863, a nadewszystko obca szkoła, świadomie lekceważąca albo zohydzająca przeszłość Polski w oczach polskiej młodzieży. Jak w sercu Mickiewicza tęsknota za ziemią rodzinną rozżarzyła jej miłość, tak w sercu Sienkiewicza krzywda, wyrządzana przez swoich i obcych przeszłości narodowej, zwiększyła jej kult. Nie, powiedział sobie, nie wszystko jest tam takie złe, — nawet w tym XVII. wieku, o którym mówicie, że tonie w mrokach prywaty i anarchii, są jasne, wspaniałe, wielkie światła obywatelskiej cnoty i heroizmu, które

---

[1]) Tarnowski, *Henryk Sienkiewicz,* 31.

[2]) Henryk Sienkiewicz, *Wspomnienie (Tygodnik illustr.* 1916, nr. 48).

i w dzisiejszych mrocznych czasach mogą i powinny oświecać i ogrzewać serca. I powiedział sobie jeszcze ze Słowackim, że,

Dopóki ludzie w nowych ducha siłach
Nie znajdą w sobie rycerstwa i śpiewu,
Dopóty ja mam prawo na mogiłach
Stanąć i śpiewać...

Więc stanął Sienkiewicz na mogiłach — po raz pierwszy w roku 1880 i sercem usłyszał „tych jęk z pod trawy", co, jak szlachcic niezłomny Aleksy Zdanoborski, nie padli w *Niewoli tatarskiej* na twarz przed chanem, nie dali się skusić podłemu argumentowi, którym nieraz wojowali z nami różni chanowie, nie tylko tatarscy: „Jeśli, niewolnikiem będąc, nie chcesz mi czci oddać, ani mię słuchać, tedy przeciw Bogu postępujesz, który niewolnikom posłuszeństwo przykazał". Niezłomny szlachcic był tak bezbożny i nielojalny, że odrzekł: „Ciało moje jest tylko w niewoli". A chan tatarski był rozumniejszy i uczciwszy od różnych nietatarskich chanów, bo rzekł do swoich agów i czaukczów: „Gdy w niewolę niewiernych popadniecie, temu człowiekowi bądźcie podobni!"

Lecz to był dopiero początek. Od tej chwili coraz to silniej zaczęli przemawiać Sienkiewiczowi do serca i wyobraźni „dawni ludzie" ze swoją „złotą wiarą" i „złotem sercem", i znów powiedział sobie ze Słowackim:

Dalej więc! mówcie mi znów, serca stare,
Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne!
Odwińcie srebrną trumienną czamarę,
Pokażcie mi się, duchy żywe, jasne,
Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące.

Pokazały się mu żywe, jasne duchy naprzód tych rycerzów, którzy obronili Rzeczpospolitą przed nawałą kozacką, potem tych, którzy ją ocalili tonącą w potopie najazdu szwedzkiego i własnej zdrady, później tych, co ją przed Księżycem zasłonili, a wreszcie tych, którzy na polach Grunwaldu uratowali na całe wieki narodowość polską i państwo polskie i chrześcijańską kulturę polską od zalewu krzyżactwa: w roku 1884, t. j. w półwieku po *Panu Tadeuszu,* wyszło *Ogniem i mieczem,* w 1886 *Potop,* w 1887 *Pan Wołodyjowski,* w 1900 *Krzyżacy.*

Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła:
Marsz tryumfalny „Jeszcze Polska nie zginęła!“

To nie przesada: wszyscyśmy usłyszeli w *Trylogii*, a i w *Krzyżakach* Sienkiewicza te cztery słowa, o których prawdę powiedział Witkiewicz, że są to największe słowa, jakie po utracie niepodległości usta polskie wymówiły. Łudził się wróg, a przynajmniej chciał wmówić w świat, że cudowna muzyka tych słów przestała już grać w sercach polskich, myśmy ją sami coraz dalszą i coraz cichszą słyszeli, już konającą „gdzieś na niebios progu“, ale kiedy ją nam Sienkiewicz zagrał na sercach, one oddźwiękły równie głośno, jak dawniej, tą samą wiarą, tą samą nadzieją, tą samą miłością, równie głęboką, ale bez porównania szerszą: bo dawniej tę pieśń śpiewała tylko cząstka narodu, ale *Trylogia* Sienkiewicza nauczyła ją śpiewać całe tysiące, a raczej całe miliony ust i serc polskich, które jej dawniej nie znały, a przynajmniej nie rozumiały i jeszcze nie kochały. Tak, jeżeli dzisiaj muzyka tej pieśni ukochanej gra już we wszystkich duszach polskich, jest to w ogromnej mierze zasługą Sienkiewicza. Przecie nigdy jeszcze żadna książka polska nie była tak poczytna, jak *Trylogia;* przecie nie Mickiewicz, tylko Sienkiewicz dożył tego szczęścia, że książki jego „zbłądziły pod strzechy“; przecie to nie bajka, tylko szczera prawda, że chłop polski dawał na mszę za duszę Podbipięty, że na Litwie i w Prusach, w Rosyi i w Ameryce niejedna dusza polska, która w połowie już zatraciła swoją polskość, odzyskiwała ją w całej pełni — po przeczytaniu *Trylogii.*

Marzył Kołłątaj, żeby na całym obszarze Rzeczypospolitej była jednolita szkoła, którаby, wpajając w umysły uczniów jednakowe pojęcia, a w serca jednakowe uczucia, wytworzyła moralną jedność narodu polskiego. Marzenie to nie mogło się wówczas ziścić, naprzód wskutek arystokratycznego ustroju społeczeństwa i państwa polskiego, a potem wskutek upadku niepodległości. Wróg czuwał pilnie, żeby się nasze węzły jedności duchowej coraz bardziej rozluźniały i rwały, a główną bronią tej piekielnej polityki była znowu szkoła, świadomie zmierzająca do wytworzenia zupełnie innej jedności, jak ta, o której marzył Kołłątaj, jedności rozerwanych części z obcym organizmem, jedności nie z Boga,

tylko z piekła rodem. W drobnej tylko mierze udała się ta robota, i dziś z dużo większem prawem, niż po utracie niepodległości, możemy sobie zaświadczyć, że jesteśmy jednym narodem. A jeżeli nim jesteśmy, zawdzięczamy to nie mało naszej literaturze, która jednoczyła nas w naszych usiłowaniach i celach. Strach pomyśleć, czem bylibyśmy dzisiaj, gdyby nie Woronicz i Niemcewicz, gdyby nie wielcy poeci, gdyby nie Kraszewski. Ale strach pomyśleć także, czem bylibyśmy dzisiaj, po roku 1863, bez Sienkiewicza, bez jego *Trylogii.* Ona nas ożywiła, ona naprawdę pokrzepiła nam serca, ona nietylko wlała w nasze piersi miłość dawnej, rycerskiej Polski, ale rozpaliła w nich nowe zarzewie buntu przeciwko niewoli. I, jeżeli dzisiaj mówimy już śmiało i otwarcie o naszem prawie do niepodległości, nieprzedawnionem, jak wszystkie prawa Boże, to zawdzięczamy to nietylko nowym konstellacyom politycznym, które niesie na swych krwawych falach wojna wszechświatowa, zrodzona nie z czego innego, tylko z tej zbrodni, jaką popełniła Europa w końcu XVIII. wieku, ale także cudotwórczemu słowu Sienkiewicza, jego *Trylogii.* Jak jeden Bóg tylko zliczył, ile ofiar i mąk poniosła, ile łez i krwi wylała Polska w swoich walkach o niepodległość, tak jednemu tylko Bogu wiadomo, ile dusz polskich ten człowiek Polsce przysporzył, ile ich dla polskości ocalił, ile ich wyratował z kałuży kosmopolityzmu i z martwego morza niewiary i obojętności, ile ich wyrwał z chciwej i nienasyconej paszczy wroga, który radby połknąć nietylko ciało, ale i duszę Polski!

Ale czy to już wszystko? Jeszcze nie! W lat trzynaście po ostatniej części *Trylogii* ukazało się *Quo vadis* (1896). Niebawem przełożono je na wszystkie języki europejskie, i już w roku 1900, kiedy na pamiętnym obchodzie jubileuszowym Uniwersytetu Jagiellońskiego stanęli przed jego senatem delegaci uniwersytetów amerykańskich, zaświadczyli głośno, że przybywają z kraju, którego każdy mieszkaniec ma w swojem sercu Kościuszkę, a w swoim domu, prócz Pisma świętego, także i *Quo vadis.* Z roku na rok wzrastała sława wszechświatowa Sienkiewicza, czarowi jego powieści nie oparła się nawet Francya, która, słusznie rozkochana w swojej własnej wielkiej wszechświatowej literaturze, niesłusznie z nieufnością i pogardą patrzy na cudzoziemską. I wówczas to Sienkiewicz, z jednej strony widząc i czując, że we własnym kraju jest najpopularniejszym i najukochańszym już nie tylko pisa-

rzem, ale człowiekiem, a z drugiej wiedząc, że jest pisarzem głośnym na całym świecie, że jego nazwisko nie jest dla cudzoziemców tylko pustym dźwiękiem, jak nazwiska innych autorów naszych, nie wyłączając wielkich poetów, — wówczas stał się orędownikiem sprawy polskiej wobec zagranicy: przez jego usta cały naród polski, który go milcząco uznał za swego przedstawiciela, zaczął przypominać światu swoje nieprzedawnione prawa i wobec całej ludzkości piętnować dziejące się nad nim nikczemne bezprawia. Oto myśl przewodnia kilku odezw Sienkiewicza, czy to *Listu do baronowej Suttner*, czy *Listu otwartego Polaka do ministra rosyjskiego*, czy *Ankiety o wywłaszczeniu*, i jeszcze innych.

Te wszystkie odezwy w tej spuściźnie królewskiej, jaką narodowi swojemu pozostawił Sienkiewicz, należą do najświetniejszych klejnotów, naprawdę królewskich. Drga w nich ból, ale słabości ducha, ale pęknięcia serca tam niema; jest za to majestatyczny spokój, jest nieskruszona moc ducha, niewzruszona świadomość sił moralnych narodu, jest królewskie poczucie godności i honoru narodu, skrzywdzonego, ale który nie żebrze litości, tylko domaga się swoich świętych praw, jest potężny protest przeciwko bezprawiu, nazywający zbrodnię po imieniu. „Bezduszne... i nieludzkie jest takie prawo, które, nie bacząc na to, że nawet zwierz każdy musi mieć swoje legowisko, zabrania Polakowi wznieść sobie na własnym kawałku ziemi dach nad głową“. „Ponieważ zbrodni potrzeba ciemności, więc przez długie i długie lata trzymano nasz lud jakby w podziemiu z obawy, aby, ujrzawszy światło, nie ujrzał zarazem wszelkich popełnionych nad jego ojczyzną niegodziwości, hamowano oświatę, by łatwiej wszczepić nienawiść i by łatwiej poważniony i ślepy naród przywieść do ostatecznego upadku i zniszczenia“.

Lecz jest w tych odezwach jeden jeszcze rys, tak piękny, tak szlachetny, a tak nawskroś polski. Romantyzm utrwalił i pogłębił w sercach polskich religijną wiarę w najwyższość ideału chrześcijańskiego, w jego harmonię z ideałami narodowymi, w istnienie porządku moralnego na świecie, w ostateczny tryumf sprawiedliwości, która

...w końcu wygrywa na wieki.

Otóż wiara ta bardzo silnie dźwięczy w odezwach Sienkiewicza, który nie tylko przez swoją bujną fantazyę i gorące uczucie

i talent poetycki jest prawowitym spadkobiercą wielkich romantyków, ale i przez swoją czystość moralną i podniosły idealizm. „Państwo ma prawo dążyć do potęgi, ale musi poczuwać się do obowiązków wszechludzkich". „Siła powinna mieć duszę, i to duszę wysoką i moralną". „Należy miłować ojczyznę nadewszystko i należy myśleć przedewszystkiem o jej szczęściu; ale jednocześnie pierwszym obowiązkiem prawdziwego patryoty jest czuwać nad tem, by idea jego ojczyzny nie tylko nie stanęła w przeciwieństwie do szczęścia ludzkości, lecz by się stała jedną z jego podstaw; tylko w tych warunkach istnienie i rozwój ojczyzny staną się sprawą, na której całej ludzkości zależy; innemi słowy hasłem wszystkich patryotów powinno być: przez ojczyznę do ludzkości, nie zaś: dla ojczyzny przeciw ludzkości". I jeszcze: „Wieki chrześcijańskiej kultury, nie mniej jak zdrowy rozum, mówią głośniej od bałwochwalców warcińskich, że ta kultura, którą żyje ludzkość od dwóch tysięcy lat, jest... siłą większą i bardziej nieprzepartą od bagnetów i że hetmanem nieprzeliczonych zastępów winna być sprawiedliwość". Czy na te słowa nie zadrżałyby z radości serca Mickiewicza i Krasińskiego? czy nie powiedziałyby mu: tyś z nas?

Ale bo też on był z nich, był spadkobiercą ich ideałów nie tylko narodowych, ale i ogólnoludzkich, ich miłości nietylko Orła Białego, ale i Krzyża. I dlatego on był powołany, on jeden jedyny, do tego, żeby po ich śmierci hetmanić duszom polskim; i dlatego, kiedy się rozległa wieść żałobna o jego śmierci, to serca polskie zajęczały podobnym jękiem, jaki się wyrwał z piersi poety XVII wieku na wieść o śmierci Chodkiewicza w obozie chocimskim:

Hetmanie mój złoty!
Przeczże, przecz zostawujesz zaczęte roboty?

Bo nie w słodkim odpoczynku, tylko przy ciężkiej robocie zastała Sienkiewicza śmierć, — przy jakiej, to wiemy wszyscy. On, który uratował tyle dusz polskich, zapragnął teraz ratować życia polskie. Wyjechał do Szwajcaryi, i tutaj, korzystając ze swojej wszechświatowej sławy i mając zupełną świadomość, że on jeden jedyny w całej Polsce jest milczącą zgodą jej synów powołany do tego, żeby wobec świata być jej duchowym przedstawicielem, zorganizował i piórem swojem popierał pracę około

zbierania funduszów dla niszczonej przez wojnę ojczyzny. I tej pracy oddał się całkowicie i niepodzielnie, pomimo że z różnych stron chciano go wciągnąć do roboty politycznej i namawiano, żeby powagą swego nazwiska poparł taki lub inny kierunek i uświęcił go w oczach narodu blaskiem swojej aureoli. On odmawiał — i nie mógł, a raczej nie powinien był nie odmawiać, — dlaczego, niech na to on sam odpowie. Oto co pisał na rok niespełna przed śmiercią do jednego ze swoich krewnych:

„Czytałem ciągle, a przynajmniej od czasu do czasu, „w gazetach o rozmaitych moich oryentacyach. Czasem się „to przykrzy. Wprawdzie i ja często „timeo Danaos", ale moje „stanowtsko jest proste. Uczuciowo jest przyjazne dla „tych, którzy chcą i mogą zapewnić nam jak najwięcej „samodzielności i rozwoju — a faktycznie, póki jestem pre- „zesem Komitetu, który musi mieć dostęp do wszystkich „dzielnic, jest ściśle neutralne. Przestrzegam tego tak dalece, „że, gdy mnie rząd francuski zaprosił do zwiedzenia frontu, „odmówiłem... Nie brakło mi ochoty widzieć wojnę z blizka, „tak jak ją oglądał zaproszony Rudyard Kipling. Ale po- „nieważ trzebaby było oświadczać się z sympatyami, widy- „wać figury urzędowe, podlegać wywiadom dziennikarskim, „więc wolałem się wstrzymać. Kosztowało mnie to dużo, ale „trudno! Najpilniejszą obecnie rzeczą jest ratować zagrożone „przez głód i nędzę życie polskie. To ważniejsze od wszel- „kich romantyzmów i realizmów politycznych".

Czy tego niedosyć? A komu tego mało, niech sobie jeszcze przeczyta i dobrze rozważy jeden dwuwiersz Mickiewicza:

Po tem wyższego męża możesz poznać w tłumie,
Że on zawsze to tylko zwykł robić, co umie.

Sienkiewicz czuł się dość silnym i zobowiązanym i uprawnionym i powołanym do tego, żeby być duchowym przedstawicielem Polski wobec całego świata, żeby mu przypominać jej święte i niezaprzeczone prawa do życia i bronić jej honoru narodowego: z tego obowiązku i powołania wywiązywał się zawsze i wywiązał się w ostatnich czasach nie tylko ze spokojem i godnością, ale także z wielkim rozumem, z jasną świadomością granic możliwości, poza które ta broń duchowa, którą on władał, nie sięga. Gdyby te granice

przekroczył, mógłby tylko zaszkodzić tej wielkiej sprawie, której służył. Rozumiał, że w tej służbie musi mieć zupełną wolność ruchów, że mu jej nie wolno krępować oświadczeniem się na tę lub ową stronę, za tem lub owem stronnictwem. A jak z tej wolności korzystał, to w całej pełni z czasem dopiero wyjdzie na jaw. Dotychczas wiemy tylko, że dzięki jego przewodnictwu w Komitecie szwajcarskim i jego nazwisku napływały zewsząd fundusze dla Polski. Ale na tem on nie poprzestawał. Oto jeden szczegół, dotychczas nieznany, niby drobny, a tak bardzo wymowny:

> „*W Kanadzie* — są słowa z listu Sienkiewicza (dnia 1 listo-„pada 1915 r.) — *traktowano Polaków, poddanych austrya-„ckich i niemieckich, bardzo źle. Internowano ich, o ile nie byli „obywatelami kanadyjskimi, nie dawano im pracy etc. Na-„pisał do mnie o tem ksiądz Franciszkanin, prosząc o list „tego rodzaju, żeby go można wydrukować w pismach. Na-„pisałem,... i obecnie ten sam ksiądz donosi mi, jaki był „skutek. Oto internowanych uwolniono, sympatye dla nich „wzrosły, pracę dają im chętnie, a co więcej, we wszystkich „szkołach, do których chodzą dzieci polskie, wyznaczono „z pośród Polaków płatnych nauczycieli polskiego języka*“.

Czy jest w całej Polsce jaki inny człowiek, któregoby słowa odniosły taki skutek? A dzisiaj, po jego śmierci, czy jest w Polsce choć jeden człowiek, któryby miał prawo odzywać się do obcych w imieniu całego narodu i któryby miał prawo wierzyć, że będzie słuchany i że się nie narazi ani na śmieszność, ani na zarzut braku pełnomocnictwa ze strony narodu? Nie, takim człowiekiem był on jeden jedyny, ukochany twórca *Trylogii*, pokrzepiciel serc polskich i hetman dusz polskich, Henryk Sienkiewicz!

Jest w *Prelekcyach paryskich* Mickiewicza jedna piękna i głęboka nauka — o „człowieku wiecznym“. Mówi Mickiewicz, że wodzem duchowym swojego narodu może być tylko taki człowiek, który się czuje „członkiem swego Kościoła, synem swego narodu“, który „całą przeszłość religijną i polityczną“ umie „ścisnąć w jedno ognisko, zamienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymywać na ołtarzu swego ducha, aby cokolwiek w historyi było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się w nas, jako ziarno siewne, jako siła życiodajna“. Mickiewicz ma słuszność. Jeżeli się historya narodu ma toczyć drogą prostą i prawą, a nie manow-

cami, trzeba, żeby jego wodzowie byli nie zaprzeczeniem, nie przeciwieństwem jego ducha i przeszłości, jak wielu samozwańczych i jednodniowych fałszywych proroków, ale, przeciwnie, syntezą jego ducha i jego przeszłości, żeby byli, chociaż wyżsi od niego i podnoszący go na swoje wyżyny, kością z jego kości i krwią z jego krwi. Takim człowiekiem wiecznym był dla Polski, a raczej jest i będzie, on sam, Mickiewicz, takim był, jest i będzie Sienkiewicz: on czuł się i był członkiem swego Kościoła i synem swego narodu, w jego sercu paliła się ściśnięta w jedno ognisko cała nasza przeszłość religijna i polityczna, przeszłość wielka, wolna, niepodległa, i promienie z tego ogniska serdecznego oświecały i ogrzewały i, da Bóg, oświecać i ogrzewać będą dusze polskie, — aż wreszcie to ognisko płonąć będzie już nie tylko w głębi serc naszych, ale także przed oczami naszemi, aż wreszcie wielkość, wolność, niepodległość przestaną być tylko złotą i świętą pamiątką przeszłości i staną się na nowo rzeczywistością. A kiedy się to stanie, kiedy się ziszczą nasze marzenia, które dzisiaj nas wszystkich jednoczą, wówczas nasza miłość, wdzięczność i cześć dla Sienkiewicza zapłoną jaśniejszym i gorętszym jeszcze płomieniem; bo nikt od czasów Mickiewicza nie wpajał w nasze serca mocniej i głębiej miłości ojczyzny i wiary, że się nasze marzenia ziścić muszą;

Bo, gdy się losów zdrada na nas wściekła,
Gdy szatan piekłem osaczył nas wszędzie,
Wszelki czyn święty, dokonan śród piekła,
Na wieki wieków pamiętany będzie.

A czyn Sienkiewicza był święty!...

Ign. Chrzanowski.

Przed Nowym Rokiem.

Poraz trzeci w ciągu tej wojny nadchodzi rok nowy. I poraz trzeci wita go powszechna nadzieja, że ten nowy rok przyniesie długo oczekiwany pokój. Nadzieja ta zawiodła już dwa razy; czy zawiedzie i raz trzeci? Nie wiemy i lepiej nie odpowiadajmy na to pytanie, gdyż wojna dzisiejsza szczególnie mało sprzyja proroctwom. Jakkolwiek więc dzisiaj sprawę zawarcia pokoju jedna ze stron wojujących postawiła oficyalnie na porządku dziennym, i w chwili, gdy piszemy te słowa, nieznaną jest jeszcze odpowiedź strony przeciwnej, to lepiej zrobimy, wstrzymując się od zbyt wielkich nadziei. W obecnych zmaganiach rozstrzygają się losy wielu bardzo narodów, i te narody nie przerwą tej wojny, póki nie wydobędą z siebie wszystkich swych sił, duchowych i materyalnych. Kiedy kres przyjdzie, kiedy wysiłki stron wojujących dojdą do swego maximum i potem ku dołowi opadać zaczną, tego dziś przewidzieć jeszcze nie można. Wydaje się wszystkim ta wojna niezwykle długą, ale cóż znaczyć może w perspektywie wojennej trzy lub cztery lata wojny w porównaniu z ważnością rozstrzygnięć, które ona przyniesie. Wszyscy pragniemy rychłego pokoju, ale pragnienia nasze nie wiele znaczą. Potrzeba nam wszystkim wiary i otuchy na przeszłość, ale przetrwania tych ciężkich czasów nie ułatwi się wtedy, gdy się będzie żyło złudnemi nadziejami, gdy poczucie rzeczywistości zastąpi tani optymizm co do terminu, w którym się ma rzekomo skończyć wojna.

A tymczasem od długiego już czasu w naszem społeczeństwie popłaca łatwe przewidywanie rychłego zakończenia wojny. Są ludzie, którzy z niezamąconą wytrwałością widzą koniec w najbliższej jesieni, a gdy jesień minie, odkładają zakończenie wojny do wiosny; potem znów przychodzi kolej na jesień. Taki typ po-

lityków rozpowszechnił się u nas dzięki prasie, wśród której niespodziewanie wiele wykwitło talentów strategicznych. W dziennikach naszych znajdziemy nietylko fachowe wyjaśnienie każdego wydarzenia wojskowego, lecz również i niezawodne przewidywanie jego konsekwencyi dla zakończenia wojny. Są ludzie, którzy na coraz to nowym terenie znajdują stanowcze rozstrzygnięcie, którzy już po wielekroć wojnę wygrali i nie zostawili śladu z przeciwników. Napozór wydawaćby się mogło, że to wszystko są to niewinne zabawki. W istocie rzeczy nie są tak niewinne, a nawet przynoszą wielką szkodę. Zamiast przygotować społeczeństwo na dłuższe trwanie wojny i wskazywać konieczność liczenia się z tem w całem życiu, zarówno indywidualnem jak i społecznem, uczy się ogół naiwnej lekkomyślności, a w następstwie szerzy depressyę i pesymizm.

Jak wielu jest ludzi, którzy dziś muszą sobie powiedzieć: jakże inaczej urządzilibyśmy swoje życie, gdybyśmy wiedzieli, że wojna potrwa parę lat. Zamiast szukać oparcia dla własnego bytu w zmienionych warunkach, wielu ludzi nie brało się do żadnej pozytywnej pracy, czekając niecierpliwie rychłego końca wojny. Wykształciła ona specyalny typ próżniaków, którzy dla swojej bezczynności szukają usprawiedliwienia w wielkości chwili dziejowej. Zmarnowano wiele zasobów, pozbyto się ich za bezcen, zaniechano wielu nakładów, a wszystko w tej myśli, że przecież ta wojna już nie potrwa długo. Żywioły obce, bardziej zapobiegliwe, umiały przystosować się do nowej sytuacyi, powołać do życia wiele przedsiębiorstw, które właśnie dobrze prosperują dzięki długiej wojnie. A tymczasem nasz ogół mniej dbał o tak poziome rzeczy, rozumując, że nie warto się brać do niczego, bo nie wiadomo, co nastąpi po zawarciu pokoju.

Wyczekiwanie rychłego końca przyniosło już wiele bolesnych rozczarowań. Ono właśnie najbardziej mogło przytępić energię nerwową społeczeństwa. Lepiej nieraz przygotować się na gorsze rzeczy, choćby one i nie miały nastąpić, aniżeli spodziewać się wciąż pokoju, wiązać z każdem ważniejszem zdarzeniem jego rychłe nadejście. To też na tem tle można zrozumieć przygnębienie i wyczerpanie u wielu osób. Dzieje się to w chwili, w której właśnie nasze społeczeństwo prędzej może być powołane do głosu, w której jego zorganizowana opinia więcej może ważyć. Wiele można wytłómaczyć znużeniem wojną, które niewątpliwie jest po-

wszechnem, ale znaczna część odpowiedzialności za ten smutny stan spada na lekkomyślne pojmowanie przebiegu i trwanie tej wojny.

Brak zrozumienia właściwego jej charakteru wywołał ujemne skutki nietylko dla osobistego życia, lecz również i dla gospodarczych i kulturalnych funkcyi całego społeczeństwa. Gdy wybuchła wojna, wtedy jakaś gorączka opanowała umysły i kazała im przerywać wszystkie normalne prace społeczeństwa. Przerwało odrazu swoją działalność wiele czasopism i instytucyi naukowych, zatrzymano w wielu miejscach pracę wychowawczą, wiele placówek kulturalnych odrazu zamarło, zanikły różne postacie życia społecznego. Oczywiście wojna wywarła na to wszystko bardzo silny wpływ paraliżujący, ale powinno było zależeć na tem, by ile możności utrzymać normalne życie społeczeństwa, by ten wpływ wojny ograniczyć do minimum. Dopiero po pewnym czasie, gdy ludzie trochę się przyzwyczaili do wojny i przekonali, że ona tak zaraz się nie skończy, próbują powiązać porwane nici rozwoju społeczno-kulturalnego. Wiele szkód jednak zdołanoby uniknąć, gdyby ogół dość wcześnie zrozumiał, że wojna wojną, a nasze zadania społeczne w każdych warunkach winny być wypełniane, że właśnie w obecnej chwili wzrasta znaczenie wielu tych zadań, jakkolwiek nie mają one bezpośredniego związku z wojną.

Stan podniecenia umysłowego, które wyolbrzymia każdy wypadek i przypisuje mu przełomowe skutki, dodatnie lub ujemne, odbił się silnie także i na politycznem życiu społeczeństwa. Ziemia polska była i jest jednem z głównych pobojowisk w tej wojnie, nic więc dziwnego, że wydarzenia, które na niej występowały, odczuwali bardzo silnie jej mieszkańcy, że specyalnie na rozwój życia politycznego musiały one wywrzeć wpływ bardzo znaczny. Ale zbyt bliskie obserwowanie tych wydarzeń łączyło się z utratą perspektywy, niezbędnej dla ich krytycznej oceny. Każda nowa sytuacya wywołuje żywe echo i w wewnętrznem życiu politycznem społeczeństwa. Znajdują się żywioły, które dochodzą do zdania, że pewien układ sił jest już definitywnym układem, że trzeba wziąść za podstawę istniejące stosunki, bo one, w ich przekonaniu, mają charakter stanowczy. Na tem tle wyrastają różne akcye polityczne, których słabą stroną jest przedewszystkiem to, że zbyt skwapliwie chcą się oprzeć na ruchomym fundamencie losów wojny.

Przypomnijmy sobie początek obecnej wojny w Galicyi. Polityka galicyjska rozporządza wielu zimnemi a nawet bardzo zimnemi głowami, ale i one straciły wtedy równowagę. Wszyscy parli do natychmiastowej, jak najszybszej akcyi politycznej w przekonaniu, że każdy dzień stracony może przynieść niepowetowane szkody, że trzeba działać jak najbardziej stanowczo. Wydawało się wtedy, że wojna potrwa krótko i że jej bieg można przewidzieć z niezachwianą pewnością. To też budowle, wzniesione zbyt pośpiesznie, zaczęły wkrótce trzeszczeć, i jeżeli do dziś dnia się utrzymały, to wymagają zanadto wielu podpórek z zewnątrz.

Gdy przyszła inwazya rosyjska do Lwowa, to znów były umysły, które ten stan rzeczy uważały za definitywny i usiłowały na tem terenie wznosić konstrukcye polityczne. Dalszy bieg wypadków odebrał aktualność tym próbom.

Najwięcej zmian zaszło przez zajęcie Warszawy przez wojska niemieckie. Królestwo Polskie stało się terenem żywych bardzo akcyi politycznych. Główną energię społeczeństwa pochłonęła praca społeczna, lecz niemniej niektóre żywioły zabrały się do ochoczej działalności politycznej. Powstają jak grzyby po deszczu stronnictwa; te stronnictwa raz dzielą się na bardziej specyalne grupy partyjne, to znów łączą w różne zrzeszenia szersze w tej nadziei, że uda się im pozyskać władzę w kraju. Tej gorączkowej pracy towarzyszą konkretne programy, biorące za punkt wyjścia istniejący w danej chwili stan polityczno-militarny. Wydaje się różnym działaczom, że pokój już blisko, że trzeba się spieszyć, że nawet taka lub inna postawa społeczeństwa polskiego może ten pokój przyspieszyć. I znów tu mamy wyolbrzymianie pewnych faktów, znów stanowcze wnioski na podstawie bardzo ruchomego materyału.

Trzeba jednak przyznać, że ogół Królestwa uie dał się wytrącić niczem ze stanu równowagi i spokoju. Różne twory i kombinacye polityczne pływają tylko po powierzchni życia politycznego w Królestwie, nie znalazły oparcia dla siebie na jego trwałym gruncie. Wiedzione zdrowym instynktem politycznym, społeczeństwo rozumie, że polityka narodowa zbyt cennym rozporządza kapitałem, by można go było rzucać na targ, biorąc za podstawę każdą konjunkturę, która się tylko nadarza.

Oczywiście takie stanowisko ma pewne niewygody. O wiele łatwiej jest przepowiadać nieomylnie przyszły rozwój wypadków, kończyć wojnę w dającym się określić terminie i wróżyć, jakie

ta wojna przyniesie pod każdym względem wyniki. Odrazu wypływa zarzut bierności, o tyle niesłuszny, że nikt nie chce zakładać rąk i odrzucać nadanych form życia społecznego i politycznego, przeciwnie, wszyscy chcą budować życie narodowe od podstaw, oprzeć je na trwałym gruncie własnych urządzeń, tak najniższych jak i najwyższych. Trzeba się spieszyć, ale spieszyć powoli, iść naprzód krok za krokiem ku własnemu państwu. Musimy się posługiwać tylu surogatami, że przynajmniej w tej dziedzinie warto mieć coś oryginalnego i własnego. Rzecz jasna, że taka polityka nie prowadzi do natychmiastowych, jaskrawych efektów, a cierpliwość społeczeństwa wystawia na próbę.

Naród musi mieć nadzieję lepszej przyszłości i więcej niż nadzieję: musi mieć niezłomną wiarę, że ta wojna przyniesie realizacyę jego pragnień. Źródłem tej wiary musi być przekonanie, że konieczność dziejowa wymaga rozstrzygnięcia kwestyi polskiej w całej jej pełni. To jeszcze jednak nie powód, by można było niezachwianie już teraz przewidywać w szczegółach i przepowiadać ostateczne ukształtowanie tej sprawy, a tembardziej by można było głosić, że kwestyi polskiej nie uda się rozwikłać tak, jak tego naród pragnie. Przebieg wojny wykazuje dowodnie, że znaczenie sprawy polskiej coraz więcej wzrasta, że wzmaga się poprostu z każdym miesiącem wojny jej międzynarodowa doniosłość. Kto dziś ma prawo twierdzić, że jużeśmy doszli kresu, że już najwyższy czas na likwidacyę całej tej sprawy? Oczywiście że tego nikt wprost nie powie, ale można podejmować działania, które praktycznie równają się temu przekonaniu.

Naród nasz ożywia głęboka wiara w przyszłość i ułatwia mu wytrwanie w tych coraz cięższych czasach. Z rezygnacyą i spokojem znosimy wszystkie tak niezmiernie dotkliwe ciosy wojny i gotowiśmy znieść wszystko, byle doczekać upragnionej chwili. W społeczeństwie naszem tkwi wiele sił moralnych i nie potrzebuje ono sztucznych uspokojeń. Nie jest podobnem do chorego, którego wciąż trzeba podniecać nadzieją rychłego wyzdrowienia i obiecywać mu, którego dnia będzie mógł wstać z łóżka. Nie trzeba karmić naszego społeczeństwa wytworami wojennej fantazyi, bo one już obecnie coraz mniej popłacają.

Dlatego też my w obecnej chwili, gdy zbliża się rok nowy, nie stawiajmy bardzo dalekich prognoz. Zamiast dość częstym zwyczajem zabawiać się przewidywaniami na temat przyszłości, która

zakrytą jest dla naszego wzroku, powiedzmy sobie otwarcie: nie wiemy, czy wojna skończy się w 1917 roku. Być może, że w tym roku nadejdzie kres utrapieniom całego świata, ale również być może, że żądza wojenna i przez ten rok utrzyma broń w rękach zaciekłych wojowników. Przygotujmy całe nasze życie zarówno osobiste, jak i polityczne i społeczne na długą wojnę, a to nam tylko ułatwi przetrwanie. Nie czekajmy zbawienia od każdej przelotnej konjunktury, lecz wierzmy niezachwianie w przyszłość, mając w duszy ideał Wielkiej Polski, która przed nami z pożogi wojennej będzie się wyłaniała w coraz jaśniejszych kształtach.

Allos.

Zagadnienie dziejów Litwy od Unii Lubelskiej do upadku Rzeczypospolitej.

Wykład wstępny, wygłoszony w Uniwersytecie Jagiellońskim dnia 25. października 1916 r.

Jest to zwyczajem, ustalonym na katedrach uniwersyteckich, że się wykłada nauki uznane, ugruntowane i rozwinięte. Nam wypadnie odstąpić od tego zwyczaju. Ani w literaturze polskiej ani w żadnej innej niema naukowego przedstawienia stosunku Litwy do Korony od wygaśnięcia domu Jagiellonów. Gorzej nawet, niema porządnych monografii, z którychby można było związać taki wykład. Jeszcze gorzej, niema pod ręką zgromadzonych dostępnych źródeł, wystarczających do osnucia umiejętnej konstrukcyi. Najgorzej: niewiadomo dokładnie, jakie zagadnienie ma dominować na całym tym terenie badania.

A przecież trzeba się zająć tą sprawą, bez względu na to, czy się z dociekań okaże, iż zasługiwała ona na osobne traktowanie, czy przeciwnie, dojdzie się do wniosku, że suma zebranych faktów, dotyczących Litwy, nie ma żadnego wewnętrznego spoidła, albo należy do kilku procesów rozlicznych, albo stanowi ledwo gałązkę jednego pnia, bardziej realnego. Właśnie ze względu na tę podstawową wątpliwość wydaje się wskazanem przerwać milczenie, rozniecić ruch myśli około naszego przedmiotu, przybliżyć dalsze odpowiedzi na główny problemat, — choćby te odpowiedzi miały z gruntu wywrócić całą tymczasową robotę. Lepszy taki zaszczytny pogrzeb, niż nieomylna a jałowa wiedza o jakichś drobiazgach chronologicznych, topograficznych lub genealogicznych, z jakich dotychczas składają się przeważnie studya nad życiem Litwy w stadle z Koroną.

Wiadomo, jak żywy ruch panuje od lat kilkudziesięciu w dziedzinie historyi litewskiej. Badania, zapoczątkowane niegdyś przez naszego Czackiego, podjęli ku końcowi XIX. wieku uczeni rosyjscy: M. Kojałowicz, Leontowicz, Downar-Zapolskij, Lubawskij, Malinowskij, Łappo, Maksimiejko, Taranowskij. Dopiero pociągnięci ich przykładem, przenieśli znów tę pracę na swój warsztat Polacy: W. Czermak, St. Kutrzeba, ks. J. Fijałek, Wł. Semkowicz, L. Kolankowski, W. Kamieniecki, J. Jakubowski, J. Baranowski i ostatnio, z najbogatszym bodaj wynikiem, Oskar Halecki. Wszelako i ci i tamci z nielicznymi wyjątkami zamknęli się w obrębie doby jagiellońskiej. Póki starczyło Stryjkowskiego i Wojciecha Kojałowicza, pokąd sięgało zestawienie faktów, zwane trochę zbyt szumnie „Dziejami Narodu Litewskiego“ Teodora Narbutta, póty przedmiot wydawał się interesującym i ważnym, i jaskrawo swoistym; rozbudzona ciekawość wydobyła na światło dzienne moc nowych źródeł, zagłębiła się daleko poza informacye kronikarskie i wsparła na fundamentalnych aktach unii oraz przywilejach cały gmach nowej wiedzy, zwłaszcza o wewnętrznych dziejach państwa Mendoga i Gedyminowiczów. Jeżeli jedni popełniali błędy, to drudzy śpieszyli je prostować; od błędu w naukach indukcyjnych bliższy trakt do prawdy, niż od niewiadomości. Byle nie brakło faktów, umysł krytyczny potrafi się wyplątać ze wszystkich uprzedzeń i pochwyci część rzeczywistości. Lecz na roku 1572 urwała się wiązanka gotowych faktów. Przez dwieście lat historya Litwy rozpływała się odtąd w ogólnych dziejach Rzeczypospolitej, te zaś przeważna większość badaczy pojmowała, jako dzieje narodu polskiego, traktując wszystkie inne zbiorowe indywidualności, niby ujemne wyjątki z reguły: jakgdyby Litwa w zasadzie zrezygnowała z własnego rozwoju na rzecz kultury i państwowości polskiej. Dopiero gdy węzeł przyrodzony dwóch narodów pękł pod obcym toporem, zaczyna się — w świetle dotychczasowych przedstawień — nowa, odrębna historya litewska, i ta ściśle poza granicą Rzpltej, na Białorusi od r. 1772, gdzieindziej po drugim i trzecim rozbiorze, znajduje w Henryku Mościckim zdolnego, rozmiłowanego w swym przedmiocie badacza. W takiem położeniu rzeczy nic dziwnego, że ktokolwiek spróbuje zapełnić dwóchsetletnią lukę, musi zdać sobie sprawę z pytania: co właściwie nazywa się dziejami Litwy od unii do rozbiorów?

Wszelka historya jest historyą c z e g o ś. Musi ona mieć wewnętrzną jedność substratu, t. j. przedmiotu albo podmiotu. Jest zawsze coś, co się rozwija lub poprostu zmienia, zachowując przecież wewnętrzną tożsamość. Im trwalsze są te realności, identyczne wśród przemian, tem lepiej z nich skonstruowana bywa historya. Życie publiczne społeczeństw odtwarza się zwykle według jednego z trzech schematów: wysuwa się na plan pierwszy albo państwo (np. „*Istoria Gosudarstwa Rossijskago*“ Karamzina), albo naród (np. „*Geschichte des deutschen Volkes*“ Janssena), albo kraj (np. „*Histoire politique de l'Europe contemporaine*“ Seignobosa). Zresztą nazwa geograficzna bywa najczęściej rozumiana głębiej, jako symbol pewnego czynnika kulturalno-politycznego, na który składają się naród, państwowość i terytoryum. Czasem zależy wybór schematu od przewagi czynników społecznych, państwowych albo terytoryalnych w danej epoce i środowisku; czasem wpływają nań uprzedzenia filozoficzne albo polityczne autora. Z heglowską np. filozofią, wywyższającą państwo, dobrze licuje tytuł „*Geschichte des russischen Staates*“ (Strahla i Herrmanna), a ten lub ów demokrata chętnie akcentuje w tytule doniosłą rolę dziejową ludu. Najczęściej jednak wybór etykiety odbywa się mechanicznie, bez głębszego zastanowienia nad jej znaczeniem, albo poprostu zależnie od stanu wiedzy autora o tej lub owej stronie życia publicznego. Jeżeli np. Lubawskij nazwał swój syntetyczny przegląd „Zarysem historyi państwa litewsko-ruskiego“, to pochodzi głównie stąd, że i on i jego towarzysze najchętniej badali urządzenia państwowe niezuniowanej Litwy.

Lecz co począć z taką konstrukcyą po roku 1569? Jak wydobyć napowrót z lubelskiego analgamatu p i e r w i a s t e k p a ń s t w o w y litewski? Czy może opowiadać dzieje n a r o d u litewskiego? Czy też traktować przeszłość Litwy, jako historyę k r a j u, p r o w i n c y i, z określonym przedmiotem, ale bez żywego podmiotu?

Budowa dziejów kraju byłaby jeszcze najprostszem przedsięwzięciem. Poeta-literat, p. Czesław Jankowski, napisał czterotomową rzecz o „Powiecie Oszmiańskim“, gdzie z właściwą sobie łatwością wysłowienia rozsypał moc wiadomości *de omni re scibili:* o rodzinach, majątkach ziemskich, pałacach, przemarszach wojsk, bitwach, pożarach, ciekawszych osobistościach, które wchodziły w styczność z Oszmianą, — co wszystko, hojnie ilustrowane, stanowi, jeżeli nie historyę powiatu, to w każdym razie duży zbiór

materyału do jego przeszłości i teraźniejszości. Możnaby podobnie, albo raczej według innej nieco metody, skreślić dzieje Żmujdzi, Pińszczyzny, Witebszczyzny i wszystkich województw razem wziętych. Weszłoby tam wszystko, co w danym czasokresie istniało albo zdarzyło się w granicach Wielkiego Księstwa. Każdy jednak przyzna, że zestawienie takie nie zaspokoiłoby naukowych potrzeb naszego ducha.

Druga koncepcya, biorąca za ośrodek naród, chwyta rzecz niewątpliwie głębiej, ale napotyka w zastosowaniu do naszego przedmiotu nielada trudność. Wielkie Księstwo nie miało jednej masy narodowościowej od krańca do krańca. Pod względem etnicznym mieszkańcy jego składali się z Litwinów i Żmujdzinów, Białorusinów i Rusinów (szczepu „małoruskiego“ *vel* „ukraińskiego“), Polaków, Żydów, Tatarów, Niemców. Te ludy różnej krwi w rozmaitej mierze przyswoiły sobie kulturę polską lub zachowały własną, albo nawet asymilowały siebie nawzajem. Wszystkie razem rozpadały się na klasy społeczne, wśród których tylko szlachta, pochodzenia litewskiego albo ruskiego, spolszczona do cna w ciągu XVII. wieku, uważała siebie za właściwy naród. Miasta zaludniali obok Żydów i nielicznych Polaków przeważnie Białorusini. Chłopi należeli do plemienia litewskiego oraz ruskiego obu odnóg.

Na czemże wśród tej rozmaitości polegałaby jedność podmiotu narodowego dziejów Litwy po unii? Nie na wspólnośc mowy, bo Litwa używała tyluż języków, ile miała szczepów, nie licząc obowiązującej w aktach urzędowych do końca XVII. wieku, specyalnie przyrządzonej staroruszczyzny. I nie na religii, skoro w tych ramach mieścili się katolicy, unici, dyzunici, protestanci kilku wyznań, żydzi, mahometanie. Może na wspólnej tradycyi historycznej? Z góry zaprzeczyć temu trudno, zwłaszcza skoro niedawno bezstronny badacz, p. Jan Jakubowski, odnalazł dowody poczucia odrębnej narodowości litewskiej nawet u piszących po rusku kronikarzów litewskich; ale dowody te pochodziły z czasów przed unią, i trzebaby szukać dalszych na stwierdzenie owej wspólnej samowiedzy w czasach późniejszych. Co więcej, dzieje żywiołu litewskiego nie zamykały się w granicach Księstwa: część jego poprostu uległa aneksyi przez przyłączenie do Korony Podlasia, Wołynia i Kijowszczyzny przed unią 1569 r.; część przenosiła się do Korony później, dziedzicząc albo nabywając dobra w Małopolsce, a czasem nawet w Wielkopolsce. Tak rozsiedlali

się po różnych dzielnicach Sapiehowie, Czartoryscy, a poniekąd i Sanguszkowie i Radziwiłłowie. Stojąc przeto na stanowisku narodowościowem, należałoby chyba śledzić losy na Litwie żywiołów polskiego, litewskiego, ruskiego, ale też i litewskiego żywiołu w Koronie. W jednem tylko rozumieniu cała ludność Litwy tworzyła przez wiek XVII. oraz XVIII. zaokrągloną całość: życie gospodarcze w osobnem państwie z odrębną skarbowością czyniło z niej jeden „organizm", czy też, mówiąc ostrożniej, jeden splot interesów. Na tem to podłożu przypuszczalnie możliwa będzie z czasem konstrukcya dziejów społeczeństwa litewsko-ruskiego. Tylko że należycie ujęta historya gospodarcza jest jeszcze muzyką przyszłości nawet dla krajów bliżej znanych, a cóż dopiero dla niezbadanej Litwy.

Pozostaje trzecia koncepcya—pojęcie historyi państwa litewskiego. Braterski związek szlachty polskiej i litewskiej doprowadził na wiekopomnym sejmie lubelskim do stopienia obustronnych pierwiastków państwowych w tak złożonej postaci, że prawnicy nie bez trudu umieszczają Rzeczpospolitę pojagiellońską w przedziałkach swych klasyfikacyi. Ostatecznie była to unia realna, a nie personalna, bo oparta nie na przypadkowej tożsamości panującego, lecz na trwałym układzie dwóch państw względem utworzenia nazawsze jednej całości udzielnej pod jedną głową. Niektórzy dodają: unia niezupełna — dodatek zbędny, bo do zupełności unii wcale nie jest wymagana wspólność prawodawstwa, wykonawstwa i sądownictwa; dość, gdy złączone państwa mają na mocy pierwotnego układu i ewentualnie późniejszego ustawodawstwa jednego monarchę. Kiedyindziej słychać: unia „ciasno pojęta" — sąd, zdaniem naszem, też niesłuszny, skoro Rzeczpospolita oprócz wspólnego króla—wielkiego księcia, miała nadto wspólny sejm, senat, szereg czasowych komisyi, później wspólny rząd naczelny pod nazwą Rady Nieustającej. Nazwa „unia parlamentarna" też nie wyraża całej pełni współżycia prawnopaństwowego Polski i Litwy. Wielkie Księstwo, czyli Prowincya Litewska (bo odtąd naprzemian wchodzą w obieg obiedwie nazwy), zachowało osobny herb państwowy, Pogoń, zamiast dawnych Kolumn, osobny tytuł wielkoksiążęcy — bez osobnych insygniów; osobne prawodawstwo — bez odrębnej władzy prawodawczej, osobne wojsko, skarb, ministerya, dygnitarstwa, osobną hierarchię sądów. Oprócz tych instytucyi osobnych utrzymało Księstwo pewne cechy jakościowo

odrębne: a więc i wojskowość, i skarbowość, i ustrój i przewód sądowy, i część urzędów były tam nadal nietylko osobne, ale też odmienne w porównaniu z Koroną.

Razem wzięte samoistność i odrębność ustroju Litwy złożyły się na jej indywidualność prawnopaństwową, która przetrwała aż do dnia 3. maja 1791 r. O ile wyjdzie na jaw, że przez tę osobną i odrębną formę płynęło swoiste życie zbiorowe, to temsamem zyska prawo obywatelstwa w nauce osobna po unii indywidualość polityczna Księstwa, i wypadnie uznać, że Litwa zasługuje na własną historyę polityczną, nie roztopioną w dziejach Rzeczypospolitej. W jakiej mierze zaznaczyła się owa indywidualność i jak ustosunkowała się do indywidualności koronnej, czy i o ile znajdowała oparcie w odrębnej kulturze albo w jednolitem życiu gospodarczem, to pytanie musi górować nad każdem innem w przedstawieniu wzajemnego współżycia zuniowanych narodów. W niem tkwi zaniedbany dotąd naczelny problemat naszej wspólnej historyi od sejmu lubelskiego do końca Rzeczypospolitej.

Rozwiązać go można będzie dopiero po najskrupulatniejszem odgrzebaniu, związaniu i ocenie faktów, niezawiśle od uprzedzeń i sympatyi wrażliwego badacza. Wskazówka napozór elementarna, brzmi jak komunał, a jednak nie zbyteczna. Odium dnia dzisiejszego, zawziętość oskarżycielska z jednej strony, a żal z drugiej, nie ułatwiają należytej oceny dawno minionych sporów. Przez załzawioną źrenicę łatwo zobaczyć przepaść tam, gdzie był tylko rów graniczny. Z drugiej strony wylew serdeczności, jako reakcya przeciw tym uczuciom, może zaciemniać rozpoznanie zjawisk, które kiedyś były bądź co bądź rozbieżne. Cudzą indywidualność poznaje się najlepiej przez szkła szacunku, a nie w nastrojach miłości albo niechęci. A przecież trudno dzisiaj o temat historyczny, któryby mniej był spowity w promienie i chmury rozlewnych uczuć, niż Unia Lubelska.

My w niej widzimy tryumfujące po stukilkudziesięcioletniej walce *mysterium caritatis*, dobrowolny akt wzajemnej życzliwości dwóch narodów. Przytem akt, płynący z doskonałego zrozumienia wzajemnych interesów, dzieło polityczne mądre, udatne i trwałe. Matejko uwiecznił nam na pierwszym planie sceny lubelskiej głębokie, pogodne spojrzenie ostatniego Jagiellona i górujące nad zgromadzeniem godło chrześcijaństwa. Czy może być straszniejszy

kontrast, niż ten, który wskazali najpierw Tadeusz Korzon, a po nim Wacław Sobieski, między królem i carem, między ślubem wieczystym dwóch narodów, a spółczesną „unią“ Nowogrodu i Moskwy, dokonaną wśród jęku ofiar, przez krew i żelazo? Zapamiętaliśmy tę paralelę i nie zapomnimy jej nigdy. Ale przyjmiemy też bez obawy każde porównanie naszej unii z podobnemi doświadczeniami ludów zachodnich. Związki państwowe różnych narodowości wogóle rzadko się udawały. Unie osobiste rodziły się z przypadku: przez małżeństwa, przez spadkobranie, przez podbój. Gdzie nie brak było pewnych podstaw rzeczowych, tam drogą rokowań przekształcano związek osobisty w realny, t. j. obiecywano sobie stale podlegać tym samym monarchom i tworzyć na z e w n ą t r z jedną udzielność; dla wzmocnienia łącznika ustanawiano czasem te lub owe wspólne instytucye, chociaż w zasadzie wystarczał jeden organ wspólny — monarcha. Wszędzie na dnie stosunku unii leżała idea: „wolni z wolnymi, równi z równymi“. Ale nie wszędzie życie umiało wspiąć się na poziom tej idei. Jedna z najdawniejszych unii, Kalmarska, zawarta między Danią, Szwecyą i Norwegią w r. 1397, już po upływie półwieku zaczęła pękać wśród waśni plemiennych, aż utonęła w krwawej łaźni stokholmskiej (1520). Po oderwaniu się Szwecyi związek duńsko-norweski zamienił się w ujarzmienie i wyzysk Norwegii przez Danię. Unia aragońsko-kastylska (1469), wyrosła na gruncie jednej narodowości, nie splamiła się takim końcem, ale też rychło przestała być związkiem państw wolnych. Unia osobista angielsko-hannowerska powstała wskutek powołania Jerzego Welfa na tron Wielkiej Brytanii (1714); służyła ona lepiej interesom hannowerskim, niż angielskim, najlepiej — dynastycznym zachciankom królów; nosiła też wszelkie cechy niedobranego małżeństwa i pozostawiła nawet w Anglii, po stronie silniejszej, niesmaczne wspomnienie. Ustała w roku 1837 skutkiem wygaśnięcia męskiego potomstwa Welfów. Unia osobista polsko-saska (1697—1763) zawdzięczała byt przemocy i korupcyi; ucierpiały na niej obie strony. Unia angielsko-irlandzka do r. 1801 była przeważnie hańbą i klęską ludzkości. Po owym roku, naprzekór urzędowej nazwie, unia faktycznie między Londynem a Dublinem ustała; miejsce jej zajęła ku strapieniu Irlandczyków zupełna jedność państwowa. Tak samo związek Anglii i Szkocyi od r. 1707 nosi tylko nazwę unii, chociaż neguje wszelką samoistność członków. Ostatnia unia realna, szwedzko-

norweska, przetrwała lat 90 (1815—1905); cała jej historya składa się z obustronnych szamotań, i cała chluba tych dwóch szlachetnych ludów skandynawskich polega na tem, że się umiały bezkrwawo pożegnać. Jedynie dawna unia szkocko-angielska (1603 do 1707) względną trwałością i harmonią zbliża się do naszej polsko-litewskiej, a jest od niej o tyle szczęśliwsza, że nie gwałcona z zewnątrz doprowadziła oba szczepy do zlania w jedno ciało polityczne. Na tle takich porównań dzieło Zygmunta Augusta musi się wydać w bezstronnych oczach zjawiskiem wspaniałem, dostojnem, jedynem.

Niestety, na obcą bezstronność liczyć nam trudno. Któż, zdawałoby się, bardziej był powołany do wypowiedzenia się o związku polsko-litewskim, jak autor monografii o *„Staatenverbindungen"*, Jerzy Jellinek? A jednak, wierny regule międzynarodowej pewnego gatunku pisarzy: *de mortuis aut male aut nihil,* wolał się on rozwodzić o wewnętrznych stosunkach Sachsen Coburg-Gotha, niż wspomnieć o Unii Lubelskiej.

Z drugiej strony, każda próba pogrążenia się i wczucia w fale przeszłości litewskiej natrafia dziś na wrogi prąd, sztucznie potęgowany, obcą ręką mącony. Bije ten prąd ze wschodu, daje się wyczuć z publikacyi całej plejady historyków rosyjskich, ale najdrastyczniej występuje w pismach pana Iwana Łappy.

Uczony ten pierwsze płody swej pracowitości puścił w świat przed kilkunastu laty p. t. *„Wielikoje Kniażestwo Litowskoje za wremia ot zakluczenija lublinskoj unii do smierti Stefana Batorija"*. Pokaźna ta księga stanowi do dziś dnia j e d y n ą próbę kontynuacyi dziejów politycznych Litwy poza rok 1572, i już z tej samej przyczyny zasługuje na kilka obszerniejszych uwag.

Zdobycze naukowe, jak wiadomo, niekoniecznie płyną z czysto naukowej miłości prawdy. Czasem pomaga im motyw uboczny. Pan Łappo np. rzucił się w objęcia nauki głównie pod ciśnieniem patryotycznych uczuć rosyjskich. Odwieczna walka Moskwy z Koroną Polską o Wielkie Księstwo Litewskie kierowała jego myślą od pierwszej strony tej wielomównej książki aż do ostatniej. Zdawałoby się z góry, że społeczność, która po Stryjkowskim i Augustynie Rotundzie, obu zresztą zapożyczonych z Korony, nie miała podczas trwania unii ani jednego dziejopisa-specyalistu prócz Wojciecha Wijuka Kojałowicza, który też nie posuwał się poza rok 1572, — nie miała też wydatnej fizyonomii polityczno-kulturalnej. Tak jednak nie jest. Pan Łappo, zaczynając od sejmu lubelskiego,

przechodzi ostatnie lata Zygmunta Augusta, oba bezkrólewia i czasy Batorego, stwierdzając na każdym kroku polityczną „osobność“ Litwy; a zanim się rozstanie z Batorym i przejdzie do spraw ustrojowych, jeszcze raz pilnie dowodzi, że Księstwo miało indywidualność nietylko odrębną, ale wrogą Polakom. Bo i nic dziwnego! Akt 1. lipca 1569 r. był dziełem gwałtu i chłodnego egoizmu koroniarzy, a nie miłości. W Lublinie obdarto bezbronną Litwę z żyznych prowincyi, narzucono jej nienawistne urządzenia, zgnieciono jej własne wolne instytucye. Łzy, tryskające z oczu szlachty litewskiej w chwili wiekopomnej przysięgi — to były gorzkie łzy bezsilnych ofiar. To też głęboka waśń zrodziła się z „fatalnych wypadków“ onego roku. Atoli unia niedość, że nie była dziełem braterskiem — była dziełem płytkiem i lichem. Polska zrobiła swoje, spreparowała pergamin i lekkomyślnie „machnęła ręką“ nad urzeczywistnieniem zawartych w nim zobowiązań. Życie pobiegło jednak inną drogą — i cały traktat został tylko próbką sztuki pisania dokumentów historycznych. Niebawem zaczął on pękać na wszystkich ściegach, gmach począł trzeszczać we wszystkich posadach. Cóż z tego, że Litwa czerpała z Polski wyższą kulturę i język, kiedy dotrzymała wiary swym własnym tradycyom i nie zapomniała swych praw publicznych, a nie zapomniała dla bardzo prostej przyczyny. Toż nawet silny rząd nie zdoła przekreślić żywiołowych mocy realnych, a w Polsce — świadkiem Bobrzyński — o wykonaniu praw nikt nie myślał, wszystko — według Szujskiego — stało ludźmi, nie instytucyami. Następują dowody, jeden kapitalniejszy od drugiego. Zachowana odrębność urządzeń wywoływała ciągłe przeciwstawianie litewskości polszczyźnie. Sam obszar Litwy uniemożliwiał asymilacyę między nią a szczuplejszą Koroną. Życie doprowadziło do osobnego potwierdzenia przez Litwę elekcyi i osobnego potwierdzenia praw litewskich przez króla neoelekta (1576). Kiedy Zygmunt III. próbował zrobić Polaka, Bernarda Maciejowskiego, biskupem wileńskim, prowincya skutecznie oponowała. I potem jeszcze, w r. 1673, udało się Litwinom wywalczyć rzecz dawno upragnioną, aby co trzeci sejm odbywał się w Grodnie. A jeszcze później, 24. lipca 1792 r., Konfederacya Generalna W. Ks. Litewskiego (t. j. litewska Targowica), prawiła coś o woli narodu litewskiego, a po pogrzebie unii zawyrokował najpierwszy grabarz, Mikołaj Wasilje-

wicz Repnin, że Litwy nie łączyło z Polską nic oprócz kleru i jego majątków.

Nic to autora nie obchodzi, że ostatnie świadectwo poprostu niema sensu, że przedostatnie było echem tylko separatystycznych ambicyi wisielców Kossakowskich, że przeniesienie co trzeciego wspólnego sejmu na Litwę dowodziło tylko harmonii polsko-litewskiej, a nie zgrzytu; że takie same żale o mianowanie na jakąś godność nieposesyonata danego województwa wytaczał lada sejmik ziemski; że osobna konfirmacya elekcyi tudzież praw na Litwie nie utrzymała się w Woluminach Legum. Nic go nie krępuje mapa historyczna, gdzie Korona po unii 1½ razy przewyższa obszarem Litwę. Nic mu to nie mówi, że pomimo rzadkich, sporadycznych przejawów separatyzmu wśród litewskiej magnateryi węzeł unii zacieśniał się z biegiem lat i w sercach milionów przetrwał Repninów, Siemaszków i Murawiewów, że oba narody wolały raczej cierpieć razem, niż się rozłączać, że nie było w Księstwie ani jednego powstania przeciw Polakom, że nie rządził tam z ramienia Polski żaden satrapa, że nikt Litwy gwałtem nie unifikował ani nie polonizował.

Oczywiście taki wolny pochód dwóch społeczeństw przez arenę dziejową wydał się Rosyaninowi czemś niezrozumiałem i bezrozumnem, a cały stosunek Orła do Pogoni — jakąś mieszaniną pychy, tyranii i... lekkomyślności. Jakto, połączyć się a uszanować autonomię, nie dbać o „urzeczywistnienie“ związku, nie narzucać wiary, mowy, kultury, prawa, uścisnąć a nie udusić? — To przecież było nie po rosyjsku, było czemś, co się nie mieści w szufladkach biurokratycznych wschodniej państwowości! Słowem, Zygmunt August, Myszkowski, Padniewski, Krasiński, Sienicki i wszyscy nasi bojownicy unii dostali się, jak tylu innych później Polaków, pod krzyżowy ogień dwóch prokuratorów, czy też jednego prokuratora o dwóch głowach, z których każda oskarżała według innego kodeksu. Źle, że narzucano Litwinom polskie instytucye, i źle, że ich nie narzucano. Prokurator Łappo o janusowem obliczu, jak tylu innych w jego ojczyźnie Janusów, mógł powiedzieć o sobie wraz z Faustem: *zwei Seelen wohnen, ach in meiner Brust...* Bo doprawdy trzeba mieć parę dusz zamiast jednej, aby tak humanitarnie w przeszłości i w teraźniejszości wyzwalać ludy sąsiedzkie z pod zaciągniętych przez nie związków,

a potem tak nielekkomyślnie anektować ich przeszłość i teraźniejszość na rzecz własnego państwa.

Może zawiele zaszczytu robimy tu starej książce pana Łappy, któremu już dawno obtarł łzy krokodylowe Witold Nowodworski na łamach „Kwartalnika Historycznego". Recenzya jednak, napisana w innym języku, złej książki nie zabija, ani nie unicestwia postawionego przez nią zagadnienia. A trzeba przyznać, że autor książki, o której tu mowa, pchnięty nienaukową namiętnością, wpadł na problemat ważny i sam jeden nieodwołalnie umieścił go na porządku dziennym badań. Strona polska niczem pozytywnem na ten krok nie zareagowała, a uczynić to musi.

Trzebaż raz wreszcie — a najlepiej będzie, gdy uczynią to spadkobiercy idei jagiellońskiej nad Niemnem, nie nad Wisłą — omówić takie pytania, jak np.: o ile kultura polska na Litwie przyczyniała się do ogólnego rozwoju sił i dobrobytu miejscowego społeczeństwa, co dała Litwa Koronie w życiu konstytucyjnem, jaki udział brały obie połowy Rzeczypospolitej we wspólnych ciężarach, jak wpływała rozbieżność interesów terytoryalnych na zaspakajanie wspólnych potrzeb, jaki był stosunek sił, dzielących Litwę od Korony do sił sprzęgających i t. p. Tego wszystkiego przemilczać nie należy, zwłaszcza gdy wiemy, że milczenie może nam tu tylko zaszkodzić.

Przedewszystkiem jednak, z najogólniejszego stanowiska naukowego chodzi o określenie indywidualności politycznej Litwy w epoce elekcyjnej. Historya z reguły indywidualizuje, ale indywidualizować, nie znaczy to przeoczać sprawy wielkie na korzyść drobnych i robić z wyjątków ogólne prawidła. Cała rzecz w trzeźwym wymiarze roli życiowej jednych i drugich. Krew nie woda, więc i prądy życia narodów, jeżeli nawet w pewnych momentach zleją się w jedno koryto, nie są podobne rzekom i nie muszą się mieszać ani płynąć razem aż do utonięcia w morzu. Że Wielkie Księstwo po kilku wiekach samoistnego bytu, po kilkudziesięciu zwłaszcza latach silnego tarcia między zwolennikami i przeciwnikami unii, ujawni nietylko pewne swoiste kształty, ale i własną fizyonomię polityczną, to łatwo zgadnąć zawczasu. Że niekiedy wstawać będzie cień skasowanych instytucyi z przed roku 1569, na to też trzeba być z góry gotowym. Że w chwilach wstrząśnień i rozkładu wyrwie się nawet czasem wzwyż ostry akcent separatystyczny, — i to nie powinno nikogo dziwić. Państwowość pol-

ska nie miała nic z szalonej żądzy Kaliguli, aby cały świat nosił jedną głowę, którąby można było ściąć jednym zamachem. Obejmowała ona od pierwszych dni związku z Litwą — wielorakość w jedności. Nie znalazła dla swego posłannictwa należytej formy prawnej, poświęcała nawet częstokroć całość dla części, ale znalazła w sobie obfitość sił moralnych, umożliwiających zgodne współżycie najróżniejszych indywidualności. Z tych sił moralnych niechaj zaczerpnie natchnienia przyszły historyk, który na wrogie wyzwanie da spokojną, godną odpowiedź w postaci księgi o dziejach Litwy, zuniowanej z Koroną.

Wł. Konopczyński.

Poezya polska w latach wielkiej wojny.

(Dokończenie.)

Poeci płomiennemi słowy głoszą aksyomat, że wolność kupuje się tylko krwią, że jedynie orężny czyn daje narodom wyzwolenie. Tylko poryw masowy, pożarem ogarniający ziemię, stworzy na ruinach nowy byt. Siłą ducha nie zrywa się oków, trzeba na to tęgości muszkułów, przemocy zwycięskiej, nakazującej szacunek dla siebie i dyktującej prawo. Poeci głoszą hasło aktywizmu bez zastrzeżeń, są bezwzględnymi zwolennikami „czynu" — choćby dla samej piękności czynu. Jeźli słuszne jest hasło *l'art pour l'art*, słuszne jest, zdaniem poetów, także hasło czynu dla jego piękna poetyckiego i dla jego mocy, która sama przez się jest świadectwem żywotności narodowej.

Kazimierz Tetmajer, który w generałach niemieckich widzi „spadkobierców Napoleona" *(„Polen"*, nr. z 16. kwietnia 1915 r., *„Die Erben Napoleons")*, staje się piewcą militarnej nowożytnej siły, operującej masami milionowemi i posługującej się wszelkimi środkami techniki — i w swym entuzyazmie widzi już chwilę, gdy i jego naród zrówna się z innymi militarnymi narody i „złotym otrąbi się rogiem", iż odtąd „dewizą będzie mu Stal (przez duże S) — Cyfra Bogiem:

„Pożarem tylko lud ten wstanie z leży!
Pożarem tylko krew swych żył oczyści!
W pożarze tylko sam w siebie uwierzy,
Chrystusa swego widząc w nienawiści!
W gniewie i pysze z ludami się zmierzy,
poczuje, że się we krwi Bytem iści —
Prawo zdobędzie wolą rzek, co płyną,
rwą tamy, łamią grunt, trzęsą krainą!

Pożarem tylko sam siebie zdobędzie,
pożarem tylko sam siebie odkupi!
Gdy wyjdzie jako mosiądz za krawędzie
palenisk, w ziemię jak posąg się wsłupi,
gdy wstanie, Życia wznowione narzędzie,
precz odrzuciwszy płaszcz i zaduch trupi,
i złotym światu otrąbi się rogiem:
dewizą będzie mu Stal — Cyfra Bogiem!" [1]).

Takiego Boga, który jak germański Tor ma druzgocący młot w ręku, uwielbia także pani Anna Sokołowska i nazywa go, zdaje się, nie zupełnie słusznie: „ojcem naszych praojców". Nasze bogi może nie czułyby się całkiem swojsko w Walhali w towarzystwie bezlitośnych witeziów północy, w żelazo okutych, pijących krew wrogów i miód z hełmów bojowych, Ale p. Sokołowska woła tego Boga-Tora, który niszczy i stwarza:

Praojców naszych Ojcze! wołamy Cię krzykiem
Tonących rzesz!
Wołamy oszalałym rykiem
Głodu, co w trumny nasze dzieci składa!
Wichrami śmierci, co huczą: Zagłada!
Syczeniem ognia i powiewem morów!
Łoskotem w próchno obalonych borów!
Gruzami świątyń! ohydą szubienic!
Krwawemi łzami, które toczą z źrenic
Matki! skowytem konających głosów!
Krzyżami mogił, co nam zamiast kłosów
Na polach wzrosły i widmowym szykiem
Czuwają... stróże bezimiennych łez...
Praojców naszych Ojcze! wołamy Cię krzykiem
Tonących rzesz!

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Gdyśmy nie popiół — nie zginiemy!
Gdyśmy nie trupem — powstaniemy!
Jeno gdy czarne miną noce,
Jeno gdy świt nam zamigoce,

---

[1]) K. Tetmajer: „Cienie" — „*Achilleis*", str. 72 i n.

Na Archaniołów Twoich skiń!

. . . .

Uniosłeś młot Twój... Ojcze! czyń!!

Poeta korzy się w podziwie przed siłą militarną; pacyfistyczne humanitarne idee rozwiały się w dym; ideałem, najwyższym wykwitem człowieczeństwa, wydaje mu się żołnierz. Niewątpliwa prawda, że „niema i od wieków nie było innej siły dźwigającej i utwierdzającej byt państwowy narodów poza ofiarnem męstwem obywateli, gotowych na wezwanie życie oddać za wolność i całość ojczyzny“ (Odezwa warszawskiej L. P. P. „do społeczeństwa i wojska polskiego“ z października 1916 roku) kształtuje się pod piórem K. Tetmajera w zdaniu: „Jedynym obrońcą honoru niewolnego narodu jest jego żołnierz“ [1]). Ekstatyczna radość i nadzieja na widok czynu orężnego („Duch mój jest synem Wiary i Ekstazy“ — „*Achilleis*“, str. 74) zbyt, da się, zacieśniają widnokrąg poety. Żołnierz nie jest jedynym obrońcą. Bronić honoru niewolnego narodu może nieraz równie skutecznie i również ofiarnie, a niekiedy skuteczniej i ofiarniej i jego nauczyciel i jego kapłan, i jego rolnik i wszelaki inny pracownik. Wszyscy oni stać mogą na straży godności narodu, wszyscy oni stwarzają podwaliny bytu i tej siły narodowej, bez której najszczytniejszy poryw łamie się bez realnego pożytku. Wszycy mogą być żołnierzami wielkiej sprawy, a nieraz trudniej stać im na posterunku niż, w płomiennym porywie, zaryzykować wszystko...

Ale „gdy dym pożarów słońce gasi“ (Słoński), K. Tetmajer widzi tylko — żołnierza, wierzy jedynie w karabin i w „karabin kładzie cud — i wiarę woli“. Z karabinem w ręku czuje się Królem-Duchem — i parafrazując Mickiewiczowską zwrotkę o „pieśni gminnej, arce przymierza“ i odpowiadając Słowackiemu na płomienne pytanie z „Grobu Agamemnona“ — woła:

O karabinie polskiego żołnierza,
śmiertelny kwiecie bujny ponad kwiaty!
W tobie lud święci broń swego rycerza,
w przędzy mąk swoich wijąc cię szkarłaty!
Tyś poświęconą jest arką przymierza
między dawnemi a nowemi laty,

---

[1]) K. Tetmajer: „O żołnierzu polskim“, Oświęcim 1915. Nakładem N. K. N.

do ciebie serce okrwawione wiodło,
za tobą tęsknił ból — tyś Polski godło!

Kto mieczem walczył, ten od miecza ginie,
kto mieczem zginął, ten mieczem powstanie —
na dyplomowym śmierci pergaminie
Polsce wyryje bagnet: zmartwychwstanie...
Chwyciłem ciebie w dłoń — w tobie się ninie
maluje ducha zew i serc błyskanie —
nie będę dłużej w ziemi rył się kretem —
do słońca! grobu sklep przedrę bagnetem!

Na Termopilach jam, który zda sprawę — —
gdyby stanęły męże nad mogiłą,
zobaczą piersi otwarte i krwawe
i niech spytają mnie: wielu was było?
Na Termopilach sława grzmi o sławę,
jak bryła złota, zwarta z złota bryłą,
i nie zawstydza mię, ani przestraszy
wieniec na głowie róż i wino w czaszy!

Pan Henryk Zbierzchowski, nadsłuchując w Wiedniu odgłosów walki na ziemi galicyjskiej, w wierszu „Polskiemu dziecku“ upomina chłopca, bawiącego się ołowianymi żołnierzami:

Baw się i młodość swą hartuj chłopaku,
Wśród szczęku szabli i tętentu podków!...
— — — — — — — — — — — — — —
Noś w swoim sercu tę świętą spuściznę,
To hasło dziadów twoich bohaterskie:
— Najwyższem życiem jest życie żołnierskie,
Najsłodszą śmiercią jest śmierć za Ojczyznę!!“

Maksyma p. Zierzchowskiego, wpajana polskiemu dziecku, iż „najwyższem życiem jest życie żołnierskie“ — może snadnie wieść do gloryfikacyi kasty i jest w swej rycerskości anachroniczna. W dobie powszechnej służby wojskowej, w państwach, operujących wielomilionowemi armiami ludowemi, każdy obywatel jest żołnierzem, każdy żołnierskiemi musi opancerzyć się cnotami.

„Nie podobna pojęcia ojczyzny oddzielić od pojęcia niepodległości“ — pisze słusznie Witkiewicz w 1915 roku. Poeci ufają

i wierzą, że burza światowa przyniesie ojczyźnie swobodę, że czyn orężny niechybnie wywalczy wolność. Poeci oczami, rozszerzonemi w radosnej ekstazie, spoglądali tedy na maszerujące przez dawny kordon graniczny pierwsze oddziały żołnierzy polskich z orzełkami na czapkach... Wyśnił się sen o szpadzie! Żołnierz polski ruszył otwarcie, jawnie, w karnym ordynku, aby zetrzeć z szat ojczyzny piętno rosyjskiej przemocy. O wielka chwilo, gdy trąbka strzelecka zadzwoni znów w górach Świętokrzyskich, gdy gromki śpiew polskiego żołnierza uderzy znów o Miechów, o Goszczę, o skały Ojcowa! Żali nie zbudzą się echa, drzemiące w lasach od półwieka, żali nie wyjdą na spotkanie młodych strzelców cienie przodków, co w głodzie i krwawym trudzie, lichą broń dzierżąc w ręce, w rozpaczliwej walce zasłali kośćmi swemi tę ziemię od Kalisza po Kielce, od Lublina po Łomżę...

Migocą znów sztandary,
Amarant lśni jak krew — —
Brzmi ogniem dawnej wiary
Niezapomniany śpiew.

Co ojcom przemoc wzięła,
Odbiera wrogom syn —
Że „jeszcze nie zginęła“,
Rycerski dowiódł czyn [1]).

Poeta nie wnika w polityczne zawiłości. Nie podziela on zdania, które w fejletonie „Nowej Reformy“ o literaturze legionowej napisał p. K. Irzykowski, że „żołnierz polski, jeźli walczy jako polski żołnierz, walczy niejako symbolicznie“. Dlań żołnierz polski, walczący z brawurą, jest realną postacią i ofiara jego krwi, ufa, nie będzie bezowocną. Sama zresztą groza burzy wojennej upaja poetę; sama możność walki raduje go. Śni sen o szpadzie... Edward Słoński w znanych powszechnie (nawet na kartach korespondencyjnych drukowanych) pięknych lirykach mówi do syna swego (wiersz z datą 3. marca 1915 r.):

O synu mój, na wszystkich frontach
od płowej Wisły aż po Ren,

---

[1]) Leon Rygier: „Wieść o archaniele“, Kraków 1916. Nakładem C, B. W. N. K. N. Str. 65. „Legiony“.

przy zapalonych stojąc lontach,
my swój o Polsce śnimy sen.
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
Lecz, synu, nie mów nic o zdradzie!
to w niemilknącym huku dział
nasz sen rycerski, sen o szpadzie,
wreszcie się dzisiaj jawą stał[1]).

I wierzy Słoński („Rozdzielił nas, mój bracie"), że:

Ta, co nie zginęła,
Wyrośnie z naszej krwi.

Ale gdzież są te szable, które tak dźwięczą, jak ostrza polskich kos? pyta Słoński.

Gdzie są te szable?
Gdzieś blisko
gdzieś przy mnie wre krwawy bój...
kowalu rozpal ognisko
i polską szablę mi kuj!

Niech płynie polska krew:

Matko, siostro, nie szczędźcie ofiary,
Promień w oku zamiast łez niech lśni!
Amarantem — hej — na trzy sztandary
Bryzgasz polska bujna, wrząca krwi!

Poto naród przecie trwał, by dożyć —
A gdyś dożył, ludu, takich dni,
Daj jej teraz, daj jej cuda tworzyć,
Krwi Grunwaldzka, ojców naszych krwi!

Płyń, krwi polska, lej się strumieniami,
Duch się wzbił i stary rapsod śni.
Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!
Pod Raszynem dymią strugi krwi.

---

[1]) E. Słoński i Z. Dębicki: „Ta, co nie zginęła", Warszawa, z początkiem 1915 r.; książeczka, wydana jeszcze pod cenzurą rosyjską. Z wiersza „Sen o szpadzie".

Płyń, krwi polska, na trzy nieba strony!
Tyle ziemi trzeba zalać ci!
Tyle ziemi!... Dadzą dwa zagony
Za każdziutką kroplę polskiej krwi [1]).

Słoński wierzy nawet, że „dobry Bóg z Polską sprzymierzył się w te krwawe dni“ (w zbiorku „Ta, co nie zginęła):

O, Polsko, Polsko, Polsko,
kto Ciebie chciał, ten wierzył,
że dobry Bóg się z Tobą
w te krwawe dni sprzymierzył.
Kto Ciebie chciał... Nie pytaj,
czy chcących było wielu —
żołnierskie policz groby
od Brześcia do Wawelu,
junakom zajrzyj w oczy
aż tam pod Białowieżą —
i wiedz, że tacy sami
w żołnierskich grobach leżą —
że ledwie polska szabla
u naszych bram zadzwoni,
ci, którzy nie wierzyli,
uwierzą tak, jak oni.
I staną pod Twym znakiem
w żołnierskiej, szarej zbroi,
ci wczoraj niewierzący —
dziś już mściciele Twoi.

I wielbią poeci państwotwórczego żołnierza, który wskrzesza Polskę swym orężnym czynem. Znowu cytujemy Słońskiego:

Ktoś w ogniu łun i w dymie
krwią własną na sztandarach
Twe święte kreśli Imię.
Ktoś krew swą żyzną rosą
na Twoje rzuca piaski...

---

[1]) Wiersz Czesława Jankowskiego w „Nowinie“, książce zbiorowej, wydanej przez Koło Samopomocy przy Towarzystwie Literackiem w Warszawie z początkiem 1915 r.

— Niech będzie cześć i chwała
żołnierzom z Bożej łaski!

A Józef Mączka (w wierszu z datą: Legionowo, w czerwcu 1916 r.) śle (tonem Wysockiego w „Nocy Listopadowej“ Wyspiańskiego) taki „Rozkaz“ żołnierzom:

Przyzwijcie wszystkie nadzieje!
Przyzwijcie wszystkie wiary,
i święćcie niemi miecze!!...
Oto się piszą dzieje:...
Nad Polską dymią pożary —
W pożarach Wolność dnieje!...
Krew, krew, co z ran wyciecze,
dopełni dzisiaj miary!...
— — — — — — — — — —
Żołnierze! — dzieci Bellony!
w śmiertelne boje idący
srożcie się jako lwi!
Nad Polską sztandar spłoniony,
zwycięski, tryumfujący:
chorągiew Waszej krwi!! —

Edward Ligocki, w którego powieści „Sambra i Moza“ polscy żołnierze śnią swój sen o szpadzie w okopach w Lesie Argońskim, śpiewa rycerski hymn na cześć wolności, zdobywanej orężem, okupionej śmiercią i sławą nieśmiertelną:

Wolności miła, tęcz korono!
Radziśmy śmierci spojrzeć w twarz —
Za błękitami nam sądzono
Nieśmiertelności trzymać straż! [1]).

Ci żołnierze walczą w imię państwowości polskiej. U Edwarda Ligockiego (w „Wiadomościach Polskich“ z 8. października 1916 r.) czytamy wiersz p. t. „Uśmiech“ (z datą Paryż 1916), w którym za Termopilami, przez które szturmują żołnierze, widzi miłościwego pana, Króla polskiego“, czekającego na swych rycerzy:

[1]) E. Ligocki: „Sambra i Moza“. „Epilog“. Warszawa. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie.

„Mojej Matki milczący uśmiech mi się śni —
a ten uśmiech jest dobry, niczem Polska cała —
Tyle lat już minęło, tyle gorzkich dni —
w tym uśmiechu się Polska ku mnie uśmiechała,
jaśniejąc w wysokościach, darząc łaską żywą.
bym szedł nieść MIECZ KRÓLOWI, a mej wiosce żniwo...

Ten uśmiech Matki mojej widzę za górami,
poprzez morza płomienne i mgłę krwawych pól:
ten uśmiech mówi do mnie: Za Termopilami
czeka na nas miłościw, nasz pan: POLSKI KRÓL!

A choć zewsząd szatani z furyą na nas natrą,
— KRÓL wypisze na tarczy: *ENSE ET ARATRO*".

Nie wartoż ponieść wszystkie ofiary, gdy się ma wiarę, iż mieczem dobijemy się państwowości polskiej, wiarę, że uzyskamy wreszcie możność żyć na własnej ziemi, jak inne narody — *„ense et aratro"* („mieczem i pługiem"), broniąc się własnym mieczem, żywiąc się własnym pługiem?

Kazimierz Tetmajer („Cienie": „Piast") widzi (w lutym 1916 r.), jako w wiosenny dzień do chaty Piastowej zachodzą młodzi strudzeni goście w siwych, zdartych ubiorach, z orłami na piersiach:

Myśmy o Tobie, Panie,
we snach naszych myśleli — —
mieliśmy powiadanie,
że nim się dzień przepali,
nim noc zapadnie czarna,
posłyszem Twoje żarna
i będziem na nich mleli,
jak dzieci Twoje, słudzy,
Twoi, — — nie cudzy...

A za tymi dwoma młodzieńcami jawi się tłum rycerzy, niosących koronę, uwitą z ziół i kwiatów:

Rycerze ją przynieśli,
krwawi w ranach młodzieńcy
zśród tysięcy wybrani,
orłami przyodziani,
pożogę niosąc prześli,

krwią młodą ją polali,
jak zorza tak się pali...

Pod wpływem takich nadziei, pod wrażeniem tak radosnych wizyj poeci wzywają naród do najwyższego napięcia sił, do wydobycia z siebie całej potęgi woli, do rzucenia wszystkiego na szalę losu, do zaryzykowania wszystkiem. Wł. Orkan chciałby być sercem dzwonu, aby całą mocą spiżowych tonów wołać nad swą ziemią: Prostujcie ducha! Odrzućcie precz wszelkie obawy i wątpliwości:

Nad upad, nędzę, krwawy los,
Nad całe morze to niedoli,
Podnieście jeden mocny głos,
Związany w jeden piorun woli!

Uczyńcie nieochybny grot
Z wyjętej z piersi Polski włóczni
Zstężałej woli twardy młot
Rozewrze bramy jutrzni!

Poeci nie wątpią o możności osiągnięcia upragnionego celu, a jeźli w chwilach przygnębienia nasuwają się im wątpliwości, rozpraszają je argumentem, że krew jest sokiem osobliwym, że czasu wojny walor ma tylko miecz, że wielkiej polityki nie robi się bez wojny. Pan J. Relidzyński, młody legionowy poeta (w wierszu „Testament" pod datą „Pozycye 6. pp.", 28. lipca 1916), ma dla przekonania ewentualnych sceptyków w zanadrzu:

Pewnik tak jasny, iże przy nim bledną
wywody mądre: oto, że gdzie kości
na szalę cisnąć, przeważa się szala,
gdzie krew się leje, tam tylko krew znaczy,
gdzie człek się staje ludziom, jak zwierz zwierzom
i gdzie brat brata bagnetem obala,
syn w ojca mierzy, tam mierzą inaczej!
tam siłę siłą, męstwo męstwem mierzą!

Ta cała poezya legionowo-wojenna zajęła front przeciw Rosyi. Jest to jedyny jej front bojowy. Jak działacze polityczni i militarni prozą, tak poeci rymami głoszą pobudkę wojenną

przeciw Rosyi, w której widzą największego wroga. Trzeba z nim stoczyć walkę na śmierć i życie. Po Rosyi niczego dobrego spodziewać się nie można, wierzyć jej równa się samobójczemu szaleństwu. Od Rosyi wszystko nas oddziela. Historya wykopała między nami a Rosyą przedział nieprzebyty... Niema i nie może być między nami a Rosyą nigdy zgody. Kultura nasza, zaczerpnięta z zachodu, a przedewszystkiem pamięć stuletniej krzywdy i męczeństwa — wykluczają wszelkie porozumienie.

Takie hasła głosi Muza współczesna. Zrzadka jeno dochodzą do uszu naszych głosy słowianofilskie jak np. T. Micińskiego.

Wobec tej antyrosyjskości nastroju — dawna poezya romantyczna, która wyrosła wspaniale z gleby, oblanej krwią szermierzy idei narodowej, nabrała niejako nowej aktualności. Żyła ona wprawdzie w sercach i przed wojną, ale teraz stała się bardziej bliską. Poezya ta w istocie swej gloryfikuje ofiarną walkę jednostek w imię wolności narodu, walkę z północnym dzikim wrogiem: walka ta, która gdy się raz zaczyna, dziedzictwem z ojca przechodzi na syna i trwać musi, póki jej nie uwieńczy zwycięstwo idei — znowu wybuchła i znowu jednostki kroczą na czele, romantyczną opromienione sławą. Wpływ romantycznej poezyi ujawnia się tedy dziś z podwójną mocą. Przejmując jej święte hasła, poeci współcześni przejmują też jej sposób patrzenia na świat, jej nastrój, jej historyozofię, jej złudzenia.

W tęsknocie do państwowości, w ochoczości orężnej, mającej zrealizować ideał narodowy, poeci czują się prawowitymi potomkami wszystkich tych wojowników, którzy po upadku Polski walczyli za wolność, prawnukami dawnych Legionów, wnukami żołnierzy z 1831, synami powstańców z 1863 roku. Nawiązując nić miłości i wspomnień między sławną, romantyczną, w pieśni zaklętą przeszłością a dobą dzisiejszą, widzą poeci strzelecko-legionowi dzisiejszych żołnierzy w pełnym blasku nowej romantyczności, nowej legendy. Józef Mączka w pięknym wierszu p. t. „Starym szlakiem“ głosi:

Starym ojców naszych szlakiem
przez krew idziem ku wolności!...
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem
my — żołnierze sercem prości,

silni wiarą i nadzieją,
że tam, kędyś, świty dnieją! —
— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

Zamarzyły się nam czyny
z pod Grochowa — Ostrołęki!
Krwawych ojców krwawe syny
zapragnęlim świeżej męki,
bowiem w grobach kości stare
wciąż wołały: *„exoriare!“*

Ś. p. Jerzy Żuławski, zmarły podczas etapowej służby, odzywa się do synów swoich:

Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój,
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z Legionami przemierzył świat,
szukając drogi przez krew i blizny
do naszej wolnej Ojczyzny!

Edward Ligocki w „Pieśni ułańskiej“ („Wiadomości Polskie“ z 8. października 1916 r.) każe ułanom nieść wojnę za Bug na rozkaz księcia Józefa, przyczem grają mu w sercu równocześnie wspomnienia 1831 roku:

Z pod Białołęki, z pod Grochowa
ułański oddział idzie nasz,
i leci nasza pieśń bojowa
i dzwoni w trąby przednia straż.

Sto serc w źrenicach nam się pali,
toczy się żywych piersi wał —
Któżby się oparł rwącej fali?
— Sam książę Józef rozkaz dał!

Szarża ułanów pod Rokitną przywodzi poetom (Łepkowski, Mączka i inni) wspomnienia Samosierry, bohaterską legendę. „Od Chocimia głoszą pieśni, że legendom my rówieśni“, mówi p. Wacław Denhoff-Czarnocki w „Piosence o poległych ułanach“.

Prawi pieśń, że ciemną nocą
Chorągiewki lanc furgocą
Na mogiłach, gdzie schowani
Młody rotmistrz i ułani,
Że z dalekiej Samosiery
Przyjechały szwoleżery,
Żeby nad mogiłą nową
Pełnić wartę honorową...
Wiecznie polski żołnierz będzie
Ginął w boju — żył w legendzie.

*
* *

Legenda wyrasta z kultu bohaterstwa. Literaci i poeci lat wojennych, porwani potęgą wydarzeń, a odczuwając wraz z ogółem potrzebę posiadania wodza, uosabiającego dążności narodowe, usiłują romantyczno-legendarnym blaskiem opromienić epokę bojową i jej działaczy. W oczach poetów, którzy na wszystkie wypadki patrzą z bliska, przejmują się nimi i tracą niekiedy właściwą perspektywę, każdy czyn zuchowaty urasta do znaczenia wiekopomnego dzieła, lada potyczka nabiera znamion walnej batalii, każdy oficer ma orle skrzydła u ramion. Cały naród promienieje nadludzką chwałą. Znowu przejawia się romantyczny mesyanizm w przypisywaniu narodowi niebywałych zalet, w strojeniu walczących rycerzy w nadludzką gloryolę zasług, męstwa i cnót wszelakich. Znowu jesteśmy narodem wybranym, a nasz żołnierz dokonywa czynów, jakich świat nie widział. — Oczywiście poglądy powyższe zabarwiła wojenna egzaltacya. Z pewnością w wojsku niemieckiem każdy Schulze i Müller spełnia swoje żołnierskie obowiązki z niezłomnem męstwem i z niestrudzoną wytrwałością — ale społeczeństwo, dumne ze swych synów, ocenia ich czyny niemniej trzeźwo jako rzecz naturalną, a nazywając ich w dziennikach „*Helden*“, jeszcze nie tworzy z nich „*Übermenschen*“. U nas romantyczność, krążąca gorącą falą w żyłach „wybranego“ narodu, rozpoetycznia wszystko, wyolbrzymia, osłania draperyą legendy. Poeci śpiewają hymny na cześć wielkości, rozdają laurowe wieńce, wznoszą pomniki sławy, tworzą legendę literacką za życia, nie pytając, co powie historya, ważąca zasługi na szali dobra narodu, wieńcząca nie szczytne chęci,

lecz realne rezultaty czynu. P. Juliusz Kaden[1]) zaraz w pierwszych miesiącach wojny pisał o „Piłsudczykach“: „Ludzi tych wzięła już na ogromne swe skrzydła Historya i nikt jeszcze nie wie, na wyżynę jakiej zasługi ich poniesie. Teraz stoją w kurzu i w dymie, w brzasku, w zgiełku walki, we wszystkich wspaniałościach i w całej grozie wojny... Mogą powiedzieć, iż spełnili wielkie przeznaczenie, co więcej, że przeznaczenie to odkryli krótkowzrocznym oczom ogółu. Mogą powiedzieć, że towarzyszyło im od zarania poczętego dzieła to wszystko, co towarzyszy trudom bohaterów. Jeślibyśmy żyli w czasie legend, to legenda potężna owionęłaby głowy tych żołnierzy już za ich życia, bowiem istotnie legendarne jest, czego dokonali“.

Tego zaś upragnionego męża opatrznościowego, tego wodza, co stanął przed narodem jako uosobienie państwowych aspiracyi — poeci ujrzeli w Józefie Piłsudskim. Jeżli nawet w artykule dziennikarskim (p. Srokowskiego w „Nowej Reformie“) zrównano w roku 1915 wodza I. Brygady z Księciem Józefem, nie dziw, że kult bohaterów, duszom poetów wrodzony, przejawił się licznym szeregiem wierszy na cześć „burzyciela i twórcy“, który „stanął w Polsce jak kapitan w burzę na maszcie“. Więc E. Słoński w wierszu z datą: Warszawa, we wrześniu 1915 r. — woła:

Kto, jak on, nasz brygadyer Piłsudski,
Polskę w sercu, śmierć w tornistrze nosił,
kto, jak on, tak u Boga wyprosił,
by stąd odszedł najezdca kałmucki?

Kto, jak on, tak się z Bogiem targował
pod Łowczówkiem[2]) z krzywą szablą w ręku
o tę Polskę, pełną krwi i jęku,
o tę Polskę, którą wróg rabował?

— — — — — — — — — — — —

Ten żołnierski wysiłek nadludzki
wy swym dzieciom w kolebkach przekażcie,
bo, jak w burzę kapitan na maszcie,
stał dziś w Polsce brygadyer Piłsundski.

---

[1]) Juliusz Kaden: „Piłsudczycy“, Oświęcim 1915. Nakładem N. K. N.
[2]) Legenda już oplotła kwiatem to pobojowisko. W czasie walki pod Łowczówkiem Piłsudzki bawił w Wiedniu.

W „Wiadomościach Polskich“ (z 25. grudnia 1915 r.) pisze p. Alfons Dzięciołowski.

Ani kontusz na nim aksamitny,
Ani pas go zdobi lity, słucki,
W szarej burce, lecz duchem błękitny
Jedzie polem brygadyer Piłsudski.

Ręce cicho na łęku oparte,
Patrzy twardo w wir śnieżnej zawiei,
Śród pustkowia sprawuje swą wartę
Nieśmiertelnej brygadyer nadziei.

Były lata zła, nędzy i głodu,
Aż się ozwał głos walki z barykad —
Zapomniano już krzywdy narodu,
Kto dziś mściwy — romantyk, unikat.
— — — — — — — — — — —
Sztandar z Orłem powiewa na wale,
Któż się zdobył na trud ten nadludzki?
Sztandar Polski wzniósł w niebo zuchwale
Wartujący brygadyer Piłsudski.

„Z Matejkowego niby zszedłeś płótna i patrzysz na nas swą marsową twarzą“ — mówi p. Henryk Zbierzchowski. A p. Zygmunt Lubicz sławi „burzyciela i twórcę“, że „hańbę narodu burzył“:

Nie chciałeś czapką popa z Kronsztadtu
gasić wolnego ducha narodu,
ani ciał polskich dać smagać batu,
ani serc poić zachodem Wschodu.

Tyś poznał dawne, wieczne różnice,
Tyś zaznał mękę turm i Sybiru — —
— dlatego jasne obnosisz lice
od błot mazurskich po brzegi Styru.
— — — — — — — — — — — —
Burzysz na kresach hańbiące mosty — —
Budujesz przedział... Walczysz, więc ranisz...
Zaświeć pożary, Wodzu! Cel wzniosły,
przyświeca łunom, gdy Ty hetmanisz!
— — — — — — — — — — — —

Wodzu! Tyś Twórcą! Tyś jest, byś burzył,
co zwie się „Polsza“ i zwie się „Polen“.

A w dytyrambie prozą na cześć wodza p. J. Kaden pisze o nim: „Orzeł — w lochu piwnicznym, na poddaszu i na ulicy... Ptak herbu świetnego — wyrzucony z tła pysznych amarantów na podwórze... Tyle srogości w tem, ile grozy w łomocie skrzydeł pośród ciasnych mroków...“

Snadź niepospolita musi byc indywidualność Piłsudskiego, skoro tyle hołdów odbiera, tak sławiony jest, kochany i słuchany. Podbija swym wpływem całe otoczenie, a ponieważ ogniskuje w sobie promienie narodowych tęsknot, wzrasta w oczach ogółu do rozmiarów symbolu. Rzadko zdarza się, aby kto dobił się tak rychło sławy i chadzał w takiej aureoli wdzięczności za czyn swój i jego owoce. Za ów szereg lat, podczas których pozostawał w cieniu, znany tylko ludziom partyi, wynagrodził go nagle rozkwitły jaskrawy blask chwały, zdobytej już w pierwszych miesiącach wojny, chwały legendarnej. Poezya romantyczno-rycerska znalazła w Piłsudzkim bohatera po swej myśli. W okół niego i jego żołnierzy wije lauru gałązki i kwiecia krasnego wiązanki romantyczne z róż, liliji i tymianku. I schodzą z ram dawne malowidła, dawne brzmią nuty. Znów idzie żołnierz borem, lasem, piechur niezłomny; znów stoi ułan na wedecie...

Ułan! Polski ułan!

Znamienną cechą tej poezyi jest, że szczególnie umiłowała ułanów. Myli się T. Miciński, pisząc („Lucifer“): „Skończył się może ułan przy nadobnej Kasi“. O nie! Strojny, błyszczący, nieustraszony junak-kawalerzysta, pełen zawadyackiego animuszu, który lekce sobie waży trudy i śmierć w służbie honoru i ojczyzny, dziarski chłopak, do którego lgną dziewczęta, jest jeszcze dzisiaj jak ongi typem żołnierza polskiego w oczach ogółu, jest miły poetom. Ułani Beliny i rywalizujący z nimi Ostojacy żyją w licznych pieśniach, które sławią ich „lot wichrowy, do sławy lot“ (B. Lubicz).

Jak to było ładnie, kiedy do Lublina
Na karkach Moskali wjechał pan Belina —

śpiewa Litwos (składając w pieśni zawiązek legendy, którą prostuje kronikarz bojowy innego pułku, twierdząc, że ta strofka po-

winna raczej brzmieć: „Jak to było ładnie, kiedy to z Lublina — Wyjeżdżał Ostoja, wjechał pan Belina“). A któż nie zna piosenki „O mój rozmarynie!“ Słońskiego, kończącej się zwrotką:

Nie powiesz nikomu, mój kwiecie jedyny,
Że był u dziewczyny ułan od Beliny!

Widzimy więc w pieśni romantycznego ułana. Ale w prozie odzywa się niekiedy zdrowy realizm. „Ułan pójdzie wszędzie“, pisze w „Wiadomościach Polskich“ p. E. Bogusz (7. sierpnia 1916 roku — na pozycyi 2. p. ułanów), „zadziwi w ogniu wszystkich zimną krwią i humorem,... ale po tem wszystkiem powie tak, jak Staszek L. panu S., składająaemu mu gratulacye:

— Dałbyś się bracie wypchać z całą sławą i zasługami. Kazali łukę zatkać, tośmy ją zatkali. A że podczas tego do nas grzali zdrowo, to owa! wielkie dzieje. Albo to nam ogień pierwszyzna? A teraz poczęstowałbyś lepiej wódką i tą oto kiełbasą, która ci z kieszeni wygląda i pozwoliłbyś się potem człowiekowi wyspać. Reszta furda!“

Tu widzimy znowu zadatek na starego wiarusa, rubasznego żołnierza-rębajłę, „kapitana Szerpentynę“. Gdy wojna potrwa długo, typ ten, znany z dawniejszej literatury, wskrześnie w naszych oczach.

* * *

Formułując w pieśni przykazania czynu, widząc w zbrojnym ruchu jedyną gwarancyę państwowego odrodzenia, poeci dali się unosić wierze, że na głos aktywistów i na dźwięk pieśni bojowej wojennej ruszą się masy:

Marsz — za nami idą masy
Hen — ze wszystkich Polski stron —
Przez nas odwrócą się czasy,
Zadrży moskiewski tron.

woła np. Wł. Orkan. Ale nadzieja poetów nie urzeczywistniła się w całej pełni. Masowy ruch nie objawił się: stąd gorycz rozczarowania u poetów, stąd ciężkie oskarżenia o brak ducha, poziomy sposób myślenia, o „kartoflarstwo“, ślepotę, tchórzostwo... Stąd gromy oburzenia, sarkazmu, gniewu.

W marszach noce i dni —
bezsenna przednia straż —
przez naród myśmy szli,
jak przez zamarły las —

mówi St. Falkiewicz (w „Wiadomościach Polskich“ z 6. sierpnia 1916 r.).

O Żołnierzu! Gdzie Naród? Ściągnij rękę, czyli
nie uczuwasz, jak piasek sypki pod nią gnie się?
— — — — — — — — — — — — — — — —
Narodzie, który — mógłbyś... czemu nie chcesz być?

pisze p. Jadwiga Marcinowska („Gazeta Polska“ z 19. sierpnia 1916 r.). K. Tetmajer oświadcza w *„Achilleis“* („Cienie“), że nie ma dobrego wyobrażenia o ogóle społeczeństwa i oskarża je o tchórzostwo, ale próbuje je tłómaczyć psychologicznie „strachem katorżnika przed nową karą“:

...nie jest dla mnie tajemnicą żadną
tego narodu strach — i bojaźń wiary,
jego żebraczy lęk, że łachman skradną...
ten strach rozbitka, aby nie pójść na dno,
strach katorżnika nowej, cięższej kary...

Pan Leon Rygier także ubolewa nad sromotą „upadku“ Polski, niepojętą dlań, i wstydzi się za nią i płomienieje gniewem:

Kiedy pomyślę w tej ocknienia chwili,
Jakeś ty strasznie mogła upaść, Polsko,
Jak odpychałaś tych, co cię bronili
Sercem czującem i harfą eolską,
Jak bliską byłaś błota i kałuży —
Z płomieniem w oczach słucham grzmotów burzy.

P. Rygier, patrząc przez pryzmat messyanizmu naiwnie na dzieje Polski, wielbi one czasy, kiedy to „rycerz polski był Chrystusowym archaniołem i prócz chwały — innej nie żądał zapłaty“:

Znam cię, pamiętam! Rycerz twój skrzydlaty
Był Chrystusowym kiedyś archaniołem,

Prócz chwały — innej nie żądał zapłaty
I chodził z gloryą świętości nad czołem —
Widzę go — Wiedeń osłania skrzydłami,
A półksiężyca sierp ma pod stopami.

Cóż, kiedy owe piękne czasy archanielstwa polskiego minęły! Dziś przed oczami poety roztacza się inny obraz: widzi on tłum, który milczy na zadane pytanie: „Coście zrobili wy, czem wyście żyli?“

A nagle podniósł się nad niemym tłumem
Mówca, co maską miał zakryte lica,
I zaczął prawić — płynnie i z rozumem,
A z mowy jego szła jakaś martwica,
Jakiś okropny wiał chłód, jakby z trumny...
Oto, co prawił mówca ten rozumny:

„Cośmy zrobili?... Zrobiliśmy wiele,
„ Więcej niż widne to jest lada komu —
Myśmy zabili wieść o Archaniele,
„O jakichś walkach duchów w błyskach gromu,
„I obudzili trzeźwą myśl w narodzie,
„ Że dość budować pałace na lodzie!

„Myśmy stworzyli wam Rzeczpospolitą,
„Ze skrzyń towarów, z potrawu i jadła,
„Bowiem wolimy dziś ojczyznę sytą,
„Niżeli wasze“... Tu — maska mu spadła,
Schylił się, brzękła pełna złota kiesa...
Przebóg! ten człowiek miał twarz Tersytesa [1]).

Trzeba sobie uprzytomnieć, że zwrotki powyższe napisane zostały w roku 1916, po dwu latach wojny, aby historyozofię poety i jego talent obserwacyjny w pełni módz ocenić. Gdzież to poeta widział „rozumnego“ mówcę, który w narodzie szerzy „trzeźwą“ myśl, „że dość budować pałace na lodzie?“ Że ten mówca w masce Tersytesa zabija „wieść o jakichś (??) walkach duchów“, to może nie zupełnie starczy na wydanie wyroku potępia-

[1]) Leon Rygier: „Wieść o Archaniele“. Kraków 1916. Nakładem C. B. W. Naczelnego Komitetu Narodowego.

jącego. Trzebaby dowiedzieć się, o jakie to walki chodzi.... Szkoda też, że poeta nie pozwolił skończyć mówcy tyrady, iż „woli ojczyznę sytą niżeli wasze“... Przerwa w tem miejscu jest zbyt sztuczna. Może poeta zamilkł, aby nie ośmieszać argumentacyi swego dziwnego mówcy? — Dlaczego każe mu przytem pobrzękiwać kiesą pełną złota? Byłżeby ów Tersytes dostawcą wojskowym lub emisaryuszem politycznym?

Jeszcze ostrzej karci społeczeństwo młody legionista p. J. Relidzyński, który dostrzega na okół „potwarców“ i „grabarzy“ i apostrofuje swych współczesnych bliźnich następująco („Testament“ w „Wiadomościach Polskich“):

O tchórzów zgrajo! co jeno pamięta
bicz hańby, miecza przepomniawszy chwały,
i tak nad Polską, jak nad trupem kracze!

Gdzie młody poeta, który sławi męstwo swoje i swych towarzyszy wymownemi słowy, a innym w czambuł zarzuca tchórzostwo, słyszał „krakanie nad Polską, jak nad trupem“, tego nam nie powiada. Myśmy go nigdzie nie słyszeli, przeciwnie wszędzie spostrzegliśmy wiarę w przyszłość Polski. Ale uszy poety są może inaczej skonstruowane, albo ideologia jego wywołuje w jego słuchu halucynacyę dźwięków...

Zresztą, powiada ten młody poeta, o słowa mniejsza. Żołnierza rzeczą jest bić się, a nie dyskutować — w czem poeta ma zupełną racyę. Nie ma jej jednak, gdy z pogardą odrzuca myśl i rachunek — i pozostawia go — kupcom z łokciem:

......a cóż słowa
choćby najbardziej szumne, kiedy skrzeczą
w krąg mitraliezy? Zresztą bo kupiecką
rzeczą rachunek i dla niego chowa
Bóg kupce z łokciem — żołnierską jest rzeczą
walczyć i naprzód iść, a my żołnierze!

Wzgarda dla „kupca z łokciem“ znana jest z polskiej historyi. Szlachta uchwaliła ongi na sejmie, że traci szlachectwo, kto łokciem się para. Snadź tradycya ta, każąca szanować tylko rycerską wojowniczość i ziemiaństwo jako jedynie godne i poetyczne zawody, wkorzeniła się w nas głęboko, skoro młody ro-

mantyczny poeta z początkiem trzeciego roku wojny urąga rachunkom i wymyśla łokciowi!

Wł. Orkan szydzi szczególnie z milczącej Warszawy, oziębłej rzekomo i płytkiej. Orkan (w trzecim roku wojny!) pyta:

Gdzież, Warszawo milcząca,
Twoje dawne dzwonniki,
Twoje bardy, gędźbiarze, Or-Oty?
Owa rzesza grająca
Na różne harmoniki,
Rozpylone po murach tęsknoty?

Również ś. p. Jerzy Żuławski, w przeddzień wyjazdu z Zakopanego na etapowy posterunek służbowy w Legionach, odzywa się z pogardą „do niektórych swoich przyjaciół“ (wiersz z daty 14. kwietnia 1916 r.):

Nareszcie! nareszcie
powiał ten wielki wiew,
który oddziela ziarno od plew!
— — — — — — — — —
Gdzie wasze słowo? Kędy jest wasz czyn?
Co wy powiecie, kiedy spyta syn:
gdzie ojciec był?
na jakim wyłomie stał?
— — — — — — — — —
Obym potępić ja was mógł za czyny,
miast gardzić wami za bezczyn i jad!

Od tych gromów potępień i namiętnych klątw łagodnością odbijają wiersze p. Jana Starzewskiego („Wiersze wojenne“, Kraków 1916. Nakładem C. B. W. N. K. N.), który odzywa się do „bezczynnych“, grożąc im jeno wyrzutem własnego sumienia:

Kara w Was leży. My sądzić nie będziem;
Polska z łask drzewa owoce i liście
rzuci wam złote, lecz kiedy orędziem
Synów wzywała, wówczas — nie przyszliście.

Także L. H. Morstin („Wiadomości Polskie“ nr. 78) widzi skarlenie ducha u przywódców:

Miecz zakwitł laurem — ale duch się karli
tych, którzy świecić winni majestatem.

Nie tylko jednak w rymowanej mowie, ale także w prozie zastrzega się p. L. H. Morstin przeciw ściąganiu poezyi na padoł ziemskich interesów. Rozumie on tylko poezyę romantyczną, bohaterską, bitewną. W artykule wstępnym w cytowanych już tu tylekroć „Wiadomościach Polskich“ (z 25. czerwca 1916 r.) p. t. „Literatura a przyszłość Polski“ — p. Morstin potępia bezwzględnie literaturę ostatniej doby. (Poeta byłby jednak może w kłopocie, gdybyśmy, nie zadawalając się ryczałtowym potępieniem, poprosili o wymienienie nazwisk twórców, których surowy sędzia ma na myśli). Zdaniem p. Morstina serca polskie „zarzucają literaturze, że głosiła, iż chwila wyzwolenia nadejdzie, a nie umie powitać chwili, że przemawiała w imię pustki i niespełnienia marzeń, że nie nie mistrzynią życia narodu była, ale przekupką narodowych świętości, trudniącą się handlem uczuć, że fałszem żyła i dusze czczą frazeologią karmiła“. Jakież zaś jest i będzie zadanie literatury po myśli poety?

„Za wiele znaczyła w życiu polskiem literatura, by mogła w przyszłości majestat swój umniejszyć, stać się płatną nałożnicą mieszczańskich upodobań, albo ograniczyć się do roli rozstrząsań ogólno-ludzkich psychologicznych zagadnień. Nie stanie się też poezyą kooperatyw i związków robotniczych, nie będzie obliczać cufr przez stowarzyszenia wydanych pieniędzy, nie pójdzie na usługi przemysłu i handlu krajowego.

Ona, siostra rycerza i bojownika wolności kochanka, idąca w laurowym wianku obok konia bohatera, zostanie Polski tryumfującej nieukojną tęsknotą, jak była nią za czasów Polski wojującej. Tęsknotą za gwarem bitewnym, w którym duch tężeje, za sławą, jakiej nie miał na świecie żaden naród, jak długo świat i narody istnieją.

Bo takie jej święte posłannictwo!“

Nie potrzeba tłómaczyć, jak romantycznie jednostronne w swym idealizmie jest powyższe pojęcie zadań literatury. Nie potrzeba wskazywać, ile przesady tkwi w twierdzeniu, iż pod względem sławy jesteśmy narodem wybranym i wyniesionym nad

inne narody, „jak długo świat i narody istnieją“. W tym idealizmie, w tej historyozoficznej przesadzie słyszymy wyraźnie echa złudzeń romantyzmu i messyanizmu dawnego.

Z powyższych licznych głosów poetów — a możnaby wiązankę cytat rozszerzyć — wynika, że między większością społeczeństwa a poetami zaznaczył się rozdźwięk. Polityczno-legionowi poeci głoszą konieczność czynu bojowego zgodnie z koncepcyą polityczną działaczy-aktywistów i żywią żal do społeczeństwa, że nie chciało czy nie umiało wznieść się do wyżyn entuzyazmu dla sprawy i do szczytnych haseł politycznych przystępuje ze skalpelem sceptycznego realizmu. Poeci oburzają się, że można nie chcieć mierzyć siły na zamiary, że można wahać się i zwlekać, „gdy dym pożarów słońce gasi“, że można ważyć argumenty, miast ryzykować wszystkiem. Poeci widzą w tem małoduszność, o którą obwiniają nawet największych w narodzie.

Szczególniejszy zaś żal czują do społeczeństwa za rzekomy chłód, okazywany legionom. Skarga na ten objaw rozbrzmiewa bez końca, a że pretensya poetów nie jest uzasadniona i świadczy o wygórowanej wrażliwości i romantycznem pragnieniu hołdów, dowodem głos tak kompetentny jak „Wiadomości Polskich“ (z 20. sierpnia 1916 r.), stwierdzający, iż społeczeństwo bynajmniej nie szczędzi uznania dobrej woli i męstwu: „Cześć dla Legionów jest tak żywą i gorącą, obejmuje tak szerokie kręgi narodu, że stała się nietykalną świętością, na którą nie ośmielają się targnąć nawet ich wczorajsi przeciwnicy. Charakterystyczną ewolucyę przeszła pod tym względem Warszawa, gdzie dziś każdy publiczny narodowy obchód nowym hołdem złożonym Legionom się zaznacza“.

* *
*

Tragedya wojenna stawiła nam przed oczy tragedyę porozbiorową Polski w pełnem świetle, tę tragedyę, która od półtora wieku każe „wrzącej krwi polskiej amarantem bryzgać na trzy sztandary“. Przed 25 laty pierwszy Andrzej Niemojewski w potężnym, bolesnym utworze p. t. „Branka“, pełnym tragicznego patosu, malował los chłopa, odzianego w szynel rosyjskiego sołdata, któremu klątwa dziejowa, ciążąca nad narodem, może kazać stanąć z karabinem w ręku przeciw szeregom braci, walczącej w służbie innego mocarstwa. A chłop słuchał tej komendy:

...Front! Hej człowiek do człowieka!
A już teraz w tym szynelu
Pójdziesz chłopie, gdzieć rozkażą,
Wszystko spełnisz z niemą twarzą,
Nawet, gdyby twe ojczysko
Jęło zbierać jak Głowacki
Zbuntowany naród lacki
I pod lufę wpadło blisko:
Nie drgnie dłoń, nie chybi celu!

W tę teraz dopiero tak aktualną strunę tragiczną uderzył Edward Słoński — i w szeregu prostych, wzruszających, śpiewnych zwrotek wyraził uczucia polskie w wojnie, w której brat przeciw bratu stoi:

Przytaczamy szeroko znany wiersz:

Rozdzielił nas, mój bracie,
Zły los i trzyma straż —
W dwóch wrogich sobie szańcach
Patrzymy śmierci w twarz.

W okopach pełnych jęku,
Wsłuchani w armat huk,
Stoimy nawprost siebie —
Ja wróg twój, ty mój wróg.

Las płacze, ziemia płacze,
Świat cały w ogniu drży...
W dwóch wrogich sobie szańcach
Stoimy — ja i ty.

II.

Zaledwie wczesnym rankiem
Armaty zaczną grać,
Ty świstem kul morderczych
O sobie dajesz znać.

Na nasze niskie szańce
Szrapnelów rzucasz grad
I wołasz mnie i mówisz
— To ja, twój brat... twój brat!

Las płacze, ziemia płacze,
W pożarach stoi świat —
A ty wciąż mówisz do mnie:
— To ja, twój brat... twój brat!

III.

O nie myśl o mnie, bracie,
W śmiertelny idąc bój,
I w ogniu moich strzałów,
Jak rycerz mężnie stój.

A gdy mnie zdala ujrzysz
Odrazu bierz na cel,
I do polskiego serca
Niemiecką kulą strzel.

Bo wciąż na jawie widzę
I co noc mi się śni,
Że Ta, co nie zginęła,
Wyrośnie z naszej krwi [1]).

W niemniej znanym „Śnie o szpadzie“ Słoński mówi do syna:

Ty mnie nie pytaj, kto zwycięża,
Czyj tryumfalny słychać śpiew,
Naszego niemasz tam oręża
Chociaż się nasza leje krew.
— — — — — — — — — —
Niszczeją grody, płoną wioski,
Świat cały — ognia krwawy słup,
A chłop poznański i krakowski,
Kładą się u wrót naszych w grób.

A my?... Ty o nas zbądź się troski —
I nas dosięgnie krwawy cios,
Wszak celnie strzela chłop krakowski,
Kiedy się waży Polski los...

---

[1]) Szeroko znany ten wiersz ukazał się najpierw w „Tygodniku illustrowanym“ z 7. listopada 1914 r. pod cenzurą rosyjską; następnie w zbiorku „Ta, co nie zginęła“, Warszawa 1915 i w zbiorku „Idzie żołnierz borem, lasem“, Warszawa 1916. W tym drugim zbiorku przedostatnia zwrotka powyższego wiersza uległa zmianie, brzmi mianowicie: „I do polskiego serca moskiewską kulą strzel“.

W pięknym wierszu „Mój miły“ (z datą 25. stycznia 1915 r.) powtarza się ten sam rozpaczliwy akord:

. . . .
Idzie miły mój w dalekość nieznaną
wielką drogą, nóg tysiącem zdeptaną.

Idzie drogą, macha ręką z szeregów,
mroźnym wichrem mówi do mnie ze śniegów:

— Z tamtej strony w moją stronę wpatrzony
z karabinem stoi brat mój rodzony.

— Coraz krwawiej straszny bój się rozwija,
a on na mnie swój karabin nabija!

— A pierś moją coraz mocniej ugniata
każda kula, którą niosę na brata! —

Epizod karpackich bojów 1914 roku, w których po jednej i drugiej stronie walczyli Polacy, posłużył p. K. Łepkowskiemu za temat do wzruszającej „Choinki“ [1]). W noc Bożego Narodzenia major Roja stawia choinkę na okopach — a cały legion śpiewa kolendy... Po chwili ten sam śpiew rozbrzmiewa w szeregach wroga, u Moskali. — „Ktoś ty?“ — wołają do siebie z okopów.

„Z Krakowa rodem matka moja“ —
— A ja z gubernii jestem mińskiej...
Tak się poznali: major Roja
I sztabskapitan pan Kwieciński!
Kraków i Litwa, wielkie słowo:
Zielona w walce z Rafajłową

Choinka stała wciąż na dworze,
Świeczki się skrzyły iskierkami...
„Wśród nocnej ciszy“... o mój Boże!
Płynie kolenda okopami
Z jednej i z drugiej suną strony
Kompanie wrogów i legiony.

A nazajutrz w walce ginie od kuli sztabskapitan Kwieciński...

---

[1]) K. Łepkowski: „Nasza wiosna“, Wiedeń 1916.

Jednakowoż żołnierz wśród walki nie odczuwa zbyt żywo tragiczności tego motywu. Zołnierz walczy, spełnia swój obowiązek — i nie ma czasu na zaprzątanie sobie głowy myślami. Dopóki idzie naprzód, nie wie, co to frasunek, troska, pesymizm.

Poetów jednak nieraz w chwilach rozmyślań ogarnia zwątpienie, chwyta gorycz i żal na widok tego, na co patrzą ich oczy. Fanfary pewności przerywa nieraz zgrzyt pesymizmu, po hymnach nadziei i wiary słychać słowa: *contra spem spero*. Ze strun ufnej lutni Słońskiego płyną także goryczą nabrzmiałe melodye: „A gdy na wojenkę szli ojczyźnie służyć, pod deszczową chmurą w polu krakał kruk" lub takie zwątpieniem tchnące zwrotki (z doby: listopad 1914):

Rozdziobią nas kruki, wrony
Na obcych pobojowiskach,
Strach ślepy, gość nieproszony,
Siędzie przy naszych ogniskach.

Pójdźmy głodni i chłodni,
Bez domu i dachu wszędzie,
A wschodni wiatr i zachodni
Każdy nam w oczy wiać będzie.

Młody poeta p. Relidzyński, legionista, pyta się (jeszcze w lipcu 1916 r.) na widok kroczących szeregów:

Och, krwawi idą to żeńce,
na krwawe idą okrężne —
w szeregu zwartym młodzieńce...
czy wrócą do dom zwycięźne?

Czy legną tutaj, a w zgliszcze
dom się ojcowy rozsypie,
wichr nad ich grobem zaświszcze,
szatan nań siędzie przy stypie?

W takim nastroju dusz, w mroku niepewności, w wirze zwątpień — wzbiera w sercach pragnienie ofiary, żądza szczytnego męczeństwa, romantyczne pragnienie bohaterskiej śmierci. Już nie o zwycięstwo proszą poeci, ale bodaj o śmierć w imię sławy:

O daj mi, Boże, piękną śmierć,
gdyś życia nie dał mi pięknego —
— — — — — — — — — —

Wśród świstu kul, wśród ryku dział
o daj żołnierską śmierć mi, Boże,
za tę truciznę, którą wlał
wróg w pierś, co dziś jak żagiew gorze...

tak pisze p. Relidzyński. Czytając podobne zwrotki, któż nie przypomni sobie uwag Chłopickiego w „Warszawiance“ odnośnie do młodego oficera:

Odznaczy się, a niewątpliwie, że się odznaczą,
bo za tem goni —
jedno, że ci młodzi romantyzują,
oni poetyczni są — udzielni króle
fantazyi, każdy z nich gra wielką rolę
komandorską...
. . . .
Otóż to, otóż to zgon, wtedy gdy trzeba
żeby Mars w pełnej zbroi gnał przez pola,
rozumiecie:
tu jest ukryty miazm rozstroju i rozkładu
w malowniczości zgonu, to poemat
dla romantycznych głów —
Nakryjcież im czoło pióropuszami
a niech będą pióra czarne,
i dajcie im kir na ubiory,
niech się stroją, wojowniki romansów...
„Los mój mię woła, otom gotów! Zginę,
zaczem w nieśmiertelności po wiekach zasłynę“...

Powyższe słowa Wyspiańskiego, czyż nie zawierają trafnej oceny pewnych objawów współczesnej romantyzującej poezyi?

* * *

Byłoby dziwne, żeby w czasie, kiedy poezya uderza głównie w struny narodowo-polityczne, dając wyraz rozbieżnym kierunkom polskiej myśli — brakło w niej tomu satyrycznego. W czasie, kiedy niejeden wiersz liryczny jest patetycznym pamfletem politycznym, mogłyżby nie zabrać głosu szyderstwo, ironia, sarkazm?

Jakoż nie brak w współczesnej produkcyi poetyckiej utworów z wyraźną cechą satyry politycznej i społecznej, nie brak szyder-

czo-polemicznych wierszy. Ale dzisiaj zbyt trudno byłoby zdać z nich sprawę. Kiedyś, później przyjdzie pora na ich rozpatrzenie i ocenę.

Wspomnimy tu jednak dla uzupełnienia obrazu współczesnej poezyi, że p. Jan Lemański napisał zjadliwą „fugę patryotyczną“:

Szanując zdrowie swoich kości,
By je zachować dla polskości,
(To — sądzę — czyn obywatela!)
I gór szwajcarskich spokój ceniąc,
Ojczyznę bym Wilhelma Tella
Zamieszkał dzisiaj, miawszy pieniądz —

Pan Lemański szydzi z tendencyj, które wzięły sobie za cel „chleb i dach“. Pan Lemański w aktywizmie swoim obwinia braci swoich o nader episierski sposób myślenia, o absolutny egoizm, lubiący się tylko stroić w szych patryotycznego frazesu. „A co się sprawy polskiej tyczy, masz wszystko w muzeum w Rappers-wylu“... Pan Lemański stawia nawet Czechów Polakom za wzór:

„My chcemy swobód!“ głoszą Czechy,
Polska — o bułki dba i strzechy...

Ktoby się spodziewał, że będzie się trzeźwości materyalistycznej polskiej przeciwstawiać idealizm romantyczny... Czechów!

Pani Jadwiga Marcinowska macza także żądełko w kałamarzu, gdy np. „Odjeżdżającym“ z Warszawy rzuca słowa: „Ex-rodacy, nie mówmy sobie do widzenia, boście się z serca Polski wymazali sami i nic po was nie zostanie prócz chwili wstrętu...“

Kilka zręcznych politycznych bajek napisał p. Benedykt Hertz. Np. w bajce „Cnota“. — Szczupak, wody gubernator, ubolewa nad bezpożytecznością okonia (którego ze względu na ość połknąć nie może):

Kto wciąż okoniem staje, ten — wyznaj mi szczerze —
Żali może mieć pełne miłości pęcherze?
Poprawy trzeba. Spojrz, jak miła, słodka
Jest choćby płotka,
Maleńki krabek —
Że od nich zacznę —
Dalej ród żabek...

A już karaski wśród rybiej młodzieży
Najlepsze. Mniam! jakie smaczne...!
— Wasza miłość, jak słyszę, cnotę smakiem mierzy?
O Jaśnie Panie,
Cenię, ogromnie cenię Wasze o mnie zdanie,
Lecz karasiowych laurów niezbyt jestem chciwy:
L u b i ę b y ć ż y w y.

Niezła jest też bajka „Koń, wilk i kwiatki". Wilk widzi, jak spętany koń pasie się na łące i pociąga go do odpowiedzialności za gnębienie trawy i kwiatków, które też mają do życia prawo. Za tę zbrodnię wilk, który sam żre w imieniu prawa, przycapał szkapę i chwycił za gardło. — Natomiast niezupełnie przekonywająca jest „Mysia secesya": Między łasicą a kotem wybuchła wojna. W narodzie Gryzoniów na wieść o tem zapanowała radość. Lecz komu życzyć zwycięstwa? „Kotu?" Bodaj pękł! „Łasicy?" Za co? Za jej okrucieństwa? Pokłóciły się szczury, zające, króliki — tu partya Łaski, tam znów partya Kota...

Ale gdzie tłum?...
Czemuż to szare myszy gdzieś po norach znikły,
obojętne na hasła tej wojny domowej?
...Ach, ten im dobry, do czyich pazurów przywykły!
Starszyźnie zaś skłóconej nie przyszło do głowy,
Że oto nadszedł czas —
czyn krzesać z mas.

* * *

Wsłuchaliśmy się w dźwięki współczesnej lutni, rozpatrzyliśmy się w t r e ś c i jej pieśni. Nie próbowaliśmy jednak poetyckich utworów wartościować e s t e t y c z n i e, chodziło nam tu tylko o wydobycie na jaw ich p r z e w o d n i c h m o t y w ó w, ich zasaniczej i d e i.

Stwierdziliśmy, że mamy do czynienia z poezyą p o l i t y c z n ą, która wszystkiemi korzeniami tkwi w chwili bieżącej. Poeci oddali swą lutnię na usługi s p r a w y, jak ją pojęli, ale nie wznieśli się sercem i duchem nad otoczenie. Pragnęliby wprawdzie wzorem wieszczów przewodzić narodowi i mają pretensyę, że *sub specie aeternitatis* patrzą na wypadki, ale zbyt często odtwarzają jeno

zgiełk i gwar dnia. Chcą budzić i gromić, gryźć sercem — ale zda się, jakby w sercach tych nie było miłosci, która naród ujmuje w ramiona, nie było rozumu, nie było tej miłościwej wyrozumiałości, która widzi jasno dolę braci. Poeci, budząc i karząc, okazują się nieraz stronniczymi, krótkowzrocznymi sędziami, służą partyi, nie dobru pospolitemu:

I w tym zamęcie, w tych trzaskach,
W skrach, co nad nami rozbłysły,
Wydaje się nieraz, gubimy
Najpierwotniejsze zmysły —

określa trafnie stan umysłów Jan Kasprowicz w wspaniałej „Księdze ubogich".

Juści, wszyscy ci poeci stoją — czyż może być inaczej? — na platformie państwowości polskiej i głoszą ewangelię odrodzenia narodu. Platforma ta mocna i pewna, jedyna, z jakiej Polak przemawiać może do do braci swych i do świata. Ale pod wpływem romantycznej ideologii politycznej — młodzi poeci ulegają bezkrytycznie romantycznemu kierunkowi, dającemu prym uczuciu i wyobraźni, przedstawiają się nam przeto niejednokrotnie jako niedojrzali epigonowie dawnego romantyzmu, z którego czerpią nietylko zasób prawd nieśmiertelnych, ale i różne złudzenia. Stąd poezya współczesna sprawia nieraz wrażenie anachronizmu. Wydaje się nieraz, jakby ci poeci niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli; wydaje się, jakby epoka pozytywizmu nie istniała dla ich świadomości.

Stąd też między poetami a społeczeństwem, które w krótkowzroczności swej — ekstaza nieraz wzrok mgłą zasnuwa! — oczerniają, zaznacza się rozdźwięk. I brzmi ta poezya, tak huczna i szumna czasem, jak „cymbał pusty i miedź brzęcząca", bo niema w niej miłości, a kroczy „butę mająca na przedzie".

Co z niej zostanie? Zostanie garść pereł lirycznych, garść wierszy, w których uczucie znalazło wyraz prosty i wiecznie prawdziwy; reszta przebrzmi, zachowując jeno literacko-historyczne znaczenie wskaźników rozbieżności i rozterki myśli polskiej.

Ale pozostanie księga, o której w poprzednich rozdziałach mimochodem jeno wspomnieliśmy, która zrodziła się także czasu straszliwej wojny, ale wzniosła się w swym dojrzałym, miłościwym rozumie wysoko ponad zamęt dnia: „Księga ubogich" Jana Ka-

sprowicza[1]). Poeta w górskiej ustroni przeżywał również burzę wojenną:

Z daleka dochodzi ku mnie
Huk armat — słucham go słuchem,
Na krwawą wieść wytężonym,
W zwątpieniu tonący głuchem.
— — — — — — — — — —
Żali naprawdę, jak mówią,
Szatan wyruszył z podbojem
Przeciwko niebu i echa
W szaleństwie rozbudza swojem?

Ale nie daje się poeta ujarzmić zwątpieniu; dzierży wysoko „nadziei puchar złoty“, widzi i wierzy, że „cud się ku nam przybliża, nazywający się wiosną“. Rozumie on jednak, że „człowiek, szukając skarbu, ma przedsię szukać siebie“, że powinien być wiernym swej duszy, a sercem złączon z swą ziemią, z narodem i wkorzenion w nie jak drzewo:

Pali się świat naokoło,
Niechże goreje, niech płonie,
Byleby tylko nam serce
Nie spopieliło się w łonie.

Byleby tylko te dymy,
Co z ziemi się kłębią umarłej,
Mózgu nam nie przyćmiły
I oczu nam nie wydarły.

Byle ten huk i ten łomot,
Wątek straszliwej powieści,
Nie odjął nam władzy słyszenia,
Co za tą grozą się mieści.

Byleby tylko ratunek,
Z którym do ognia nas pędzą,
W kaleki nas nie przemienił,
Napiętnowane nędzą...

---

[1]) Jan Kasprowicz: „Księga ubogich“. Lwów 1916. H. Altenberg, F. Seyfarth, Wende i Ska.

I jak najwięksi w narodzie w zrównoważonej swej mocy, jak nasze największe talenty powieściopisarskie, tak i Kasprowicz w oparciu się o ziemię ojczystą, w wytrwałym męskim trudzie widzi podstawę siły i rękojmię zbawienia:

Podporą ci będzie i brzaskiem
Ta ziemia, tak bujna i żyzna,
Nią-ci ja jestem, na zawsze
Twa ukochana Ojczyzna.

Ponad zamęt dnia mocnymi czystymi tony wznosi się ku wyżynom pieśń Kasprowicza [1]).

Kraków, w październiku 1916 r.

Jan Zabiełło.

---

[1]) Szkic powyższy, napisany z początkiem października 1916 r. nie uwzględnia jeszcze wrażenia, jakie akt z 5. listopada wywarł na poetów. Przyjdzie nam o poetyckich echach politycznego aktu osobno pomówić. (*Dopisek autora*).

Zmiany w stosunkach narodowościowych na ziemiach polskich od upadku Rzeczypospolitej.

II.

Ziemie Wielkopolskie.

(Ciąg dalszy).

Powiat nad Notecią (c. d.). Beheim-Schwarzbach na podstawie wykazów statystycznych pruskich [1]) przyjmuje, iż ludność katolicka w kraju nadnoteckim zaraz po zaborze wynosiła 72%, a ewangelicka 28% całej ludności chrześcijańskiej [2]); z uwzględnieniem zaś żydów, których rachować trzeba conajmniej 5% [3]), byłoby ewangelików 26·5% ogólnej ludności. Ale już pierwsze spisy pruskie z 1773 i 1774 r., na których oparł się Beheim-Schwarzbach, odbywały się po napływie urzędników, robotników dla budowy kanału bydgoskiego, oraz innej ludności niemieckiej, ewangelickiej, i dla stanu narodowościowego kraju w chwili zaboru nie są całkiem miarodajne, tembardziej dane z 1788 roku (Holsche'go), któremi także posługuje się ten pisarz wielokrotnie a bez-

---

[1]) *Klassifikationsanschläge, Grundsteuerkataster, Vasallen-Tabellen* — w królewskiem państwowem archiwum w Poznaniu.

[2]) *Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens.*

[3]) Według danych Holsche'go dla 1785 r. i lat późniejszych, żydów było w „powiecie nad Notecią“ tylko 4% ogólnej ludności, ale wkrótce po zaborze rząd pruski wydalił był sporo żydów, nie mogących się wykazać pewnym majątkiem, zwłaszcza wiejskich wędrownych handlarzy; sporo zaś ukrywało się po miastach, chroniąc się przed spisami.

krytycznie. Co ważniejsza, wykazy z 1773 i 1774 r. były bardzo niedokładne, a dla wielu miejscowości zostały zagubione, tak że Beheim-Schwarzbach, jak to sam przyznaje, opierał się na materyale niekompletnym, który nie dopuszcza bezkrytycznych uogólnień dla całego kraju. Nadto ów materyał, jako wielce niejasny i kruchy [1]), dawał wdzięczne pole do jednostronnego traktowania, wybitna zaś tendencyjność danego autora wykorzystała ten fakt, aby obniżyć, ile się dało, siłę liczebną ludności katolickiej, polskiej, na korzyść ewangelickiej, niemieckiej.

Z niespełna 800 miejscowości (miasta, wsie, młyny, pojedyncze osady) [2]), które są wymienione w wykazach statystycznych, sporządzonych przez Beheim-Schwarzbacha na podstawie wyżej omówionego materyału, a podających wyznanie i liczby ludności [3]) — niespełna 180, t. j. 22%, było jakoby czysto-protestanckich, zaś około 140, t. j. 18%, mięszanych (katolicko-ewangelickich). Niemniej tendencyjny pisarz, Erich Schmidt, tylko dla stu, mniej więcej, wsi znajduje poszlaki, zdające się świadczyć o ich ewangelicko-niemieckim charakterze, i zauważa, że należałoby zatem wyjaśnić powstanie 80 innych „czysto-niemieckich" miejscowości, oraz udział niemieckiego żywiołu w miejscowościach mięszanych [4]). Wyjaśnienie jest łatwem: u Beheim-Schwarzbacha wiele protestanckich miejscowości, zwłaszcza w obu Kreisamtach bydgoskich i w łabiszyńskim, są to młyny i pojedyncze osady, liczące po kilka lub kilkanaście dusz, sporo innych błędnie zostało oznaczonych jako czysto-ewangelickie i uzanych za czysto-niemieckie, a więc n. p. Chodzież, Szamocin (wykazy imienne ich mieszkańców zawierają dużo nazwisk

---

[1]) *„So ist doch nicht zu verkennen, dass dieser Stoff oft spröde, oft sehr zarter Natur ist"*, pisze sam Beheim-Schwarzbach (*Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens").*

[2]) *Die Orte sind durchschnittlich nur klein und unbedeutend, gewöhnlich nur ein paar Morgen (?), höchstens einige Hufen gross,* pisze Beheim-Schwarzbach. Ponad 40 włók miało bardzo mało wsi. Poniżej 30 dusz liczyło blisko 100 miejscowości, z tych dość znaczna część miała nawet poniżej 10 mieszkańców. Często znów przy spisach kilka miejscowości bywało ściągniętych razem i podawanych pod jedną nazwą (*„Der Netzedistrikt..."* Dodatek statystyczny).

[3]) Miejscowości katolickie oznaczone są przez literę *k*, ewangelickie przez *l*, mięszane przez *c*.

[4]) *„Es bliebe somit der Ursprung der übrigen 80 rein deutschen Dörfer und der deutsche Anteil in den 142 gemischten Ortschaften zu erklären"* — *Geschichte des Deutschtums im Lande Posen.* 1904, str. 405.

czysto-polskich [1]), w Chodzieży wszyscy mieszczanie, posiadacze gruntów, byli Polakami) [2]), Tuczno (według protokołu z 1772 r. było tam 508 katolików, a tylko 6 protestantów), wieś Ostrówek (przywilej, nadany tej wsi, stanowił, iż jeden z sędziów miał być katolikiem, drugi ewangelikiem), szereg innych wsi, w których sołtysi mieli czysto-polskie nazwiska i imiona [3]), albo widocznie zmienione przy spisach na niekorzyść polskiego brzmienia [4]).

Co do „mięszanych" miejscowości, Beheim-Schwarzbach uznaje, iż w nich o wiele (*„beiweitem"*) przeważali katolicy, jednak trzecią część ich ludności przyjął dla swych obliczeń jako protestancką. Stosunek taki mógł zachodzić w miastach, oznaczonych przez Beheim-Schwarzbacha jako „mięszane", w odróżnieniu do „czysto-katolickich" i „czysto-ewangelickich" [5]); w rzeczywistości miast z ludnością wyłącznie ewangelicką nie było, z wyjątkiem może Frydlandu, należącego od schyłku XVI. wieku do protestanckich i niechętnych katolicyzmowi Blankenburgów, a i tam także protestantami byli mieszczanie, co nie rozstrzygało o wyznaniu ludności służebnej. We wsiach „mięszanych" ewangelikami bywali młynarze, owczarze, czasem jakiś rzemieślnik wiejski, albo nabywca wolnego okupnego gruntu, naogół tylko pojedyncze, lecz uprzywilejowane rodziny, przeważnie spolszczone lub polskie z rodu. Wsie, w których między katolickich włościan zostaliby wmięszani protestanccy gospodarze, były bardzo nieliczne i spotykały się bodaj tylko w pobliżu granicy Nowej Marchii. Holsche podnosi z naciskiem, iż niemieccy protestanccy osadnicy w XVII. i XVIII. w. nie mięszali się z tubylczą katolicką ludnością, lecz bądź zakładali

---

[1]) Imienne wykazy mieszczan (głów rodzin) dla 29 miast podane są w dodatku statystycznym przy omawianej przez nas pracy BeheimSchwarzbacha (*„Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens"*).

[2]) Mogli być wśród nich kalwini, tu bowiem był dawniej zbór reformowany polski, który upadł w początku XVII. wieku.

[3]) N. p. Kowalski, Radocki, Marciński, Golnicki, Bartłomiej (samem imieniem nazywano tylko Polaków, nigdy zaś Niemców; stwierdza to także Beheim-Schwarzbach.

[4]) Beheim-Schwarzbach podnosi częste przeinaczanie nazwisk przez urzędników pruskich. Rzeczywiście oryentowanie się w ogłoszonych przez niego danych, jako też w danych u Holsche'go (n. p. co do własności szlacheckiej) utrudnione jest znacznie przez to, iż nazwiska podawane są w różnych miejscach z różnemi zmianami.

[5]) Ludność żydowska, liczona osobno, nie jest tu brana w rachubę.

nowe wsie, bądź też obejmowali w posiadanie dawne, opustoszone. Następne wszakże klęski i wspomniany już przez nas odpływ niemieckich osadników skutkował z pewnością rozluźnienie spoistości i wyłączności narodowościowo-wyznaniowej wielu wsi, przez nich założonych, a oznaczonych przez Beheim-Schwarzbacha jako czysto-luterańskie: opustoszone osady oddawano czasem katolickim gospodarzom, częściej osadzano polskich ogrodników, chałupników, komorników, zwłaszcza gdy w XVIII. wieku należało to już zwykle do pana, a pierwotnie nadawane „holendrom" przywileje, zastrzegające im prawo osadzania tych kategoryi ludności wiejskiej, które dostarczały najemnika i czeladzi dla gospodarzy — przeważnie bywały cofnięte.

Do sztucznego skonstruowania nieprawdopodobnie długiej listy wsi, rzekomo czysto-ewangelickich, posłużyła Beheim-Schwarzbachowi niedokładność wykazów pruskich, odnośnie zwłaszcza do pośledniejszych kategoryi ludności wiejskiej. Mówi on sam zresztą, w innem miejscu, o wsiach ewangelickich, jako mających tylko przewagę protestanckiej ludności; liczebna przewaga zwiększona była przez gospodarcze i społeczne stanowisko ewangelików, jako wolnych czynszowników, ich też wyznanie przedewszystkiem uwzględniane było i notowane przy spisach.

Krytyczne zatem rozpatrzenie statystycznych danych, pochodzących z najpierwszych spisów pruskich, a zestawionych i ogłoszonych przez Beheim-Schwarzbacha, umacnia nasze przekonanie, iż przyjęta przez nas, jako rezultat badań nad napływem niemieckim między 1772 a 1785 r. [1]), ilość ewangelików w chwili zaboru: 22% w stosunku do ogólnej ludności kraju nadnoteckiego — uważana być może jako maksymalna [2]).

Jeżeli roczny procentowy przyrost ludności między 1776 r. [3]) (139.060 dusz) a 1788 r. (180.236) spróbujemy zastosować do najpierwszych lat po zaborze: 1772—1776 i uwzględnimy, nadto, że wtedy właśnie miał miejsce najsilniejszy napływ protestancko-

---

[1]) Dla 1785 r. posiadamy pierwsze ogólne liczby ludności „powiatu nad Notecią" według wyznań.

[2]) Komornicki Stefan („Polska na Zachodzie" 1894 r.) oblicza ją na 19·5%, nie znając jednak danych Holsche'go, ani wielu innych, pochodzących ze spisów pruskich, dochodzi do powyższego rezultatu na zbyt ryzykownej drodze.

[3]) Pierwsza wiadoma liczba ogólnej ludności „powiatu nad Notecią" jest dla 1776 r.

niemiecki, w słabym tylko stopniu równoważony przez emigracyę polskiej ludności katolickiej, wówczas ogólną liczbę ludności w 1772 roku w tej części Wielkopolski, która otrzymała nazwę „powiatu nad Notecią“, przyjąć wypadnie na mniej więcej 125.000 [1]). Ludność (chrześcijańska) 35 miast, dla których posiadamy dane z lat 1772—1774, od tego czasu do 1788 r. wzrosła o 55% (z 18.361 dusz na 28.410), podobnym zapewne był wzrost zaludnienia w reszcie miast (12), na wsi nie mógł on być wiele niższym, gdyż napływ do miast równoważony był przez silne osadnictwo wiejskie (dane z lat 1788—1791 wykazują nawet trochę niższy wzrost w miastach, aniżeli w całym kraju, w poprzednim wszakże okresie: 1772—1788, mogło być inaczej, gdyż urzędy i wojsko, wprowadzone w tym czasie do kraju nadnoteckiego, umieszczone zostały głównie w miastach; coprawda z drugiej strony, liczne napływowe rzesze robotnicze, użyte przy kanale bydgoskim i różnych melioracyach, pozostały na wsi). Wzrost zatem ogólnej ludności od 1772 do 1788 r. o 44% (z 125 tysięcy na 180 tysięcy) zbyt dużym wydawać się nie może; w większej części przypisać go należy napływowi niemieckiemu [2]).

Ludność ewangelicka w 1772 r. wynosiłaby około 28 tysięcy (22% ogólnej ludności). Jakiem było jej rozmieszczenie?

---

[1]) Najpierwszy spis pruski, z 1772 r., wykazał 84.000 mieszkańców, ale cyfra ta była z pewnością wielce niedokładną i odnosić się mogła tylko do części kraju, która już w tym roku przez Prusy została zajętą (jak wiadomo, Prusy posunęły znacznie dalej swój zabór w 1773 i 1774 r. i tylko część nadprogramowego nabytku zwróciły Rzeczypospolitej). Komornicki przyjmuje 129.700 (na podstawie wielce wątpliwych danych Meyera i nietrafnego przypuszczenia co do równomiernego zaludnienia „powiatu nad Notecią“), zastrzega się wszakże, iż cyfra ta jest maksymalną, a istotna o parę tycięcy mogła być niższą.

[2]) Roczny przyrost naturalny w kraju nadnoteckim wynosić mógł wówczas 10 do 12‰ co najwyżej (10‰ — to był przyrost naturalny w ościennych krajach niemieckich, 12‰ — w Poznańskiem, według danych, zawartych w *„Denkschrift des Ministers Friedrich Wilhelm von der Schulenburg-Kehnert über Südpreussen“ Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen.* IX; według — mało prawdopodobnych zresztą — danych u Holsche'go dla przyrostu naturalnego w „powiecie nad Notecią“ w latach 1788—1791, byłby on znacznie większy: 16‰, ale z tak krótkiego przeciągu czasu nie można brać miary, zwłaszcza dla pierwszych lat po zaborze; mała liczba osób w rodzinie, jaka okazuje się z tabel u Beheim-Schwarzbacha, dowodzi, iż przyrost naturalny był w owych czasach bardzo słaby). Cały przyrost naturalny w okresie: 1772—1788 r., wyniósłby, przyjmując 125.000 dusz w 1772 r., około 25 tysięcy, reszta przyrostu, t. j. około 30 tysięcy — to byłby napływ niemiecki.

Część mniejsza znajdowała się w miastach [1]). Według wykazów u Beheim-Schwarzbacha w znacznej liczbie miast kraju nadnoteckiego (przedewszystkiem w miastach duchownych) ewangelików nie było zupełnie. Miastami temi są: Inowrocław, Bydgoszcz, Gąsawa, Gębice, Kruszwica, Kwieciszewo, Mogilno, Pakość, Strzelno, Żnin, Wilatkowo, Szubin, Budzin, Fordoń, Wysoka, Margonin; dodać do nich należy Koronowo (miasto duchowne) oraz Gniewków, Mroczę, Wałcz i Tuczno [2]) (w ostatnich trzech według protokołów z 1772 r. było trochę ewangelików, ale liczby zgoła znikome). Także Solec i Rynarzewo, zaliczone przez Beheim-Schwarzbacha do miast mięszanych, były prawie zupełnie katolickie, a z pewnością polskie (wykazy imienne ich mieszkańców zawierają niemal wyłącznie czysto-polskie nazwiska). Tak więc połowa wszystkich miast, to były miasta katolickie i polskie (mniej pewną wydaje się tylko polskość Tuczna) [3]); coprawda należały one przeważnie do słabiej zaludnionych.

---

[1]) Ludność niemiecka w miastach nad Notecią pochodziła wyłącznie z napływu poreformacyjnego w XV. i XVI. wieku niema w nich śladu niemczyzny, tak samo na północ od Noteci, w tak zwanej Krajnie. Dla Łobżenicy tylko istnieje niemieckie pismo z 1438 r., ale w początku XVI. wieku i tam już wszystko było polskiem. Bydgoszcz od początku XV. wieku, gdy podniosła się po pożarze z 1409 r., zupełnie była polska, na pismach z tego czasu tylko polskie znajdują się nazwiska; od końca XV. wieku zanika zupełnie niemiecki język nawet w korespondencyi z Gdańskiem (Erich Schmidt „*Geschichte des Deutschtums im Lande Posen*"). Także Koronowo i Inowrocław w końcu XV. wieku pozbywają się resztek niemczyzny, znikły również jej ślady w Gębicach i Strzelnie. Niemiecki żywioł utrzymał się tylko częściowo, aż do nowego napływu, na północno-zachodnich krańcach ziemi wałeckiej, w miastach nadgranicznych.

[2]) Mroczy, Tuczna, Wałczu, Gniewkowa i Koronowa, wraz z kilku innemi miastami, nie znajdujemy w tabelach u Beheim-Schwarzbacha, dla innych znów wziął on dane z 1788 r. (Holsche'go).

[3]) Tuczno, leżące nad samą granicą Nowej Marchii, sięga swym początkiem czasów pogańskich; przy wtargnięciu w te strony margrabiów brandenburskich i ich wasalów Wedlów, zaludnione zostało niemieckimi osadnikami i otrzymało prawo niemieckie, w początkach XIV. wieku. Pozostało w ręku Wedlów, którzy zupełnie spolszczyli się i nazwali Tuczyńskimi, aż do wygaśnięcia ich około 1720 roku. W czasie, gdy Wedlowie-Tuczyńscy wyznawali protestantyzm, był w Tucznie zbór augsburski i prawdopodobnie polski, który upadł po przyjęciu katolicyzmu przez Krzysztofa Tuczyńskiego. Z pomocą sprowadzonych Jezuitów przeprowadził on w końcu XVI. i początkach XVII. wieku nawrócenie Tuczna, opornych wydaliwszy z miasta. Odtąd aż do zaboru protestantyzm nie był w Tucznie tolerowany, co wstrzymało napływ Niemców z Nowej Marchii (wznowiony w wa-

Oprócz chrześcijańskiej ludności, żyła w miastach „powiatu nad Notecią“ ludność żydowska, w wykazach pruskich z owych czasów podawana zawsze osobno. W miastach duchownych żydzi mieli pobyt wzbroniony, nie było ich także w znacznej części innych miast, wymienionych powyżej. W 1773 r. (ewentualnie 1774), według wykazów u Beheim-Schwarzbacha, byli żydzi tylko w Gębicach (40), Szubinie (39), w większej liczbie w Margoninie (291 na 742 ogólnej ludności), Fordoniu (590) i w Inowrocławiu (około 200 rodzin); nadto według protokołów z 1772 r. było w Wałczu 238 żydów, w Tucznie 201, w Mroczy 6 rodzin żydowskich.

Częściej spotykało się żydów w miastach „mięszanych“ (katolicko-ewangelickich), a więc: w Wieleniu (828 dusz według Beheim-Schwarzbacha, 601 według protokołu z 1772 r.), Chodzieży (448), Czarnkowie (362), Łobżenicy (324), Trzciance (270 w 1772 roku), Łabiszynie (233), Pile, Nakle, Barcinie i innych (na wsi zliczono w 1773 r. tylko 101 żydów, w 1788 r. 69).

Ewangelicy stanowili większość, bardziej lub mniej znaczną, ludności chrześcijańskiej w Jastrowiu, Radolinie, Trzciance, Człopie; we Frydlandzie w czasie zaboru mieszczaństwo było jakoby wyłącznie ewangelickie (połowę ogólnej ludności stanowili żydzi: 553 dusz; chrześcijan było 556 dusz). Za to w innych miastach „mięszanych“, n. p. w Łobżenicy, Nakle, Barcinie, żywioł ewangelicki był tylko słaby, tem słabszy zaś żywioł niemiecki (na co wskazuje znaczna przewaga polskich nazwisk w wykazach mieszkańców) [1]. Wśród przeważającego otoczenia polskiego słabe mniejszości niemieckie zatraciły już też były najczęściej swój odrębny charakter narodowościowy.

łeckiem z nastaniem reformacyi po blisko trzywiekowej przerwie) i odbiło się ujemnie na rozwoju miasta, ale niewątpliwie przyczyniło się do powściągnięcia w niem wpływów niemieckich i wzmocnienia polskości. Błędnem też, a w każdym razie przesadnem, jest twierdzenie niemieckich pisarzy (począwszy od Goldbecka — *Topographie* 1783—1789 r.), iż ludność Tuczna w czasie zaboru była czysto-niemiecką.

[1]) W Łobżenicy i Barcinie były w XVI. wieku polskie zbory reformowane i szkoły; upadły w XVII. wieku, ale pewna liczba kalwinów, którymi byli prawie wyłącznie Polacy, zapewne pozostała. (O zborach ewangelickich patrz: Łukaszewicz „O kościołach Braci Czeskich w dawnej Wielkopolsce“ 1835 r. Werner-Steffani „*Geschichte der evangelischen Parochien in der Provinz Posen*“ 1898. Krasiński W. „Zarys dziejów reformacyi w Polsce“).

Dane w wykazach u Beheim-Schwarzbacha, oraz pochodzące z protokołów, spisywanych przy zajmowaniu kraju w 1772 r., pozwoliły nam, przy pomocy danych Holsche'go [1]), zestawić w przybliżeniu ogólną liczbę chrześcijańskiej ludności miejskiej w „powiecie nad Notecią" w latach 1772—1774 i spróbować rozdzielić ją na katolików i ewangelików. Do pierwszych zaliczyliśmy całą ludność wymienionych powyżej miast czysto-katolickich, nadto $^3/_4$ mieszkańców tych miast mięszanych, co do których wiadomo, iż przeważali w nich bardzo silnie katolicy, $^1/_4$ zaludnienia miast, mających znaczniejszą przewagę ewangelików, wreszcie $^1/_2$ ludności pozostałych miast „mięszanych". Z przeszło 25 tysięcy ludności wszystkich miast przypadło w ten spsób niespełna $^2/_3$ na katolików, reszta, t. j. około 9 tysięcy na ewangelików.

Ewangelicy niemcy w miastach nadnoteckich byli to przedewszystkiem sukiennicy i rzemieślnicy różnego rodzaju; rzadziej zajmowali się rolnictwem (z którego naówczas żyła duża część ludności miejskiej), oraz handlem, którym trudnili się żydzi. Nie górowało naogół niemieckie ewangelickie mieszczaństwo nad polskiem, sądząc przynajmniej z opisów ówczesnego stanu miast, z braku miejskich szkół protestanckich [2]), upadku samorządu i braku umiejętności czytania i pisania wśród starszyzny mniejszych zwłaszcza miast, także takich, w których istniał żywioł niemiecki (n. p. Wyrzysk). Burmistrzami, sędziami miejskimi, pisarzami w miastach mięszanych bywali katolicy i Polacy. W Wieleniu burmistrz Minke (Polak, tak jak sędzia miejski i pisarz) wraz z polską połową magistratu, przy zajmowaniu miasta we wrześniu 1772 roku, nie stawił się na wezwanie pruskiej władzy i wyjechał [3]) (księgi miejskie w Wieleniu były polskie, prawo niemieckie, chowane na ratuszu, w polskim i niemieckim było języku [4]); w Chodzieży w 1773 r., według wykazów u Beheim-

[1]) Dla 12 miast, w braku danych z czasów zaboru, wzięliśmy liczby ludności z 1788 r., odpowiednio zmniejszone (według danych, otrzymanych z przyrostu w innych 35 miastach w latach 1772—1788 r.).

[2]) Według wykazów z 1773—1774 r. w miastach nie było zupełnie nauczycieli protestanckich, z wyjątkiem rektora w Wieleniu (Beheim-Schwarzbach „*Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens*"); były tylko szkoły katolickie, klasztorne.

[3]) Beheim-Schwarzbach, „*Geschichte der Stadt Filehne und ihres Gebietes*".

[4]) W 1632 r. otrzymał Wieleń nowy przywilej na prawo niemieckie od Kostki (dawniejszy, podobno z 1225 r., poszedł był w zapomnienie), zaś w 1638 r.

Schwarzbacha, burmistrzem był piwowar Rabski, w Czarnkowie Antoni Gulkowski, także piwowar, w Nakle Binikoński, w Solcu garncarz Złotowski, w Łobżenicy wszyscy członkowie magistratu, prócz jednego członka, mają czysto-polskie nazwiska, w Wałczu (według protokołu z 1772 r.) burmistrz, pisarz miejski i 3 członków magistratu byli wychowankami jezuitów (i rolnikami; w Wałczu, jednem ze znaczniejszych miast w Polsce, hojnie uposażonem w ziemię, ludność żyła przeważnie z rolnictwa. Podobnie jak w Tucznie, miało tu miejsce w pierwszej połowie XIV. wieku osadnictwo niemieckie, w XVI. zaś wieku, około 1535 r., wprowadzoną została reformacya [1]), przez starostę Łukasza Górkę, — zastąpiona wkrótce, bo już pod koniec tegoż wieku, przez kontr-reformacyę. Nawracanie ziemi wałeckiej gorliwie prowadzili szczególniej jezuici, którzy otworzyli w Wałczu szkołę, wkrótce sławną i licznie uczęszczaną, nawet przez młodzież z protestanckich rodzin: Golczów, Unrugów, Kleistów *vel* Kliszów i innych. W Wałczu, na zamku, była rezydencya starostów wałeckich, a od połowy XVI. wieku sąd grodzki. Wszystkie te czynniki wpływały na umocnienie polskości w mieście. Od 1751 do 1773 r. bądź burmistrzem, bądź sędzią miejskim, i czynnym *in Officio publico*, był Stanisław Frank. W 1772 r. było w Wałczu, na 917 dusz całej ludności chrześcijańskiej, 6 ewangelików gospodarzy).

Wybitniejszy niemiecki charakter posiadały jedynie miasta o większościach ewangelickich, leżące w narażonym najsilniej na wpływy niemieckie północno-zachodnim kącie Wielkopolski, między Notecią, Dragą, Głdą i granicą pomorską. O katolickich miastach tu znajdujących się: Wałczu i Tucznie, mówiliśmy powyżej, inne miasta były: Trzcianka i Radolin w pobliżu Noteci, założone

---

od St. Ad. Grudzińskiego przywilej tolerancyjny dla wyznania augsburskiego i zezwolenie na zbór oraz szkołę ewangelicką. Zbór wieleński jest jednym z niewielu, które dotrwały w kraju nadnoteckim do zaboru. Według protokołu z 1772 roku było w Wieleniu 907 katolików, a 493 ewangelików; niedługo później miało być, według Beheim-Schwarzbacha, 493 katolików a 414 ewangelików. Zachodzi tu zapewne błąd. Prawdopodobnem jest jednak, zapewne iż część ludności, głównie katolickiej, po zajęciu miasta przez Prusy i przejściu dóbr wieleńskich w ręce niemieckiego właściciela, wyemigrowała. W każdym razie częste a znaczne różnice w danych ówczesnych, skłaniają do wielkiej ostrożności przy wyciąganiu z zich wniosków.

[1]) W 1559 r. luterańskim kaznodzieją w Wałczu był Wawrzyniec Drahowski, w 1577 Jakób Tczeski.

na krótko przed zaborem i przez niemieckich sukienników zaludnione; ku północy, nad samą granicą pomorską, Jastrowie; w zachodnio-północnej stronie, tuż przy granicy Nowej Marchii, Frydland; na południe od tegoż (i od Tuczna) Człopa (Wałcz pośrodku). Jastrowie, należące do starostwa w Ujściu, ze wsi podniesione do rzędu miast w 1602 r. [1]), wzrosło szybko w ludność, na skutek swego pomyślnego pod względem handlowym położenia i słynęło z jarmarków, zwłaszcza końskich, na które przyjeżdżano z odległych nawet stron Polski. Okoliczność ta — między innemi — nie dozwoliła miastu przyjąć wyłącznie niemieckiego charakteru. Obok Niemców osiadło w Jastrowiu, podobnie jak i w Wałczu, wiele Szkotów protestantów; Szkoci w XVI. i w XVII. wieku w znacznej liczbie napłynęli do miast polskich, dochodzili często do dużej zamożności i zupełnie spolonizowali się. Mimo, iż zbór ewangelicki w Jastrowiu upadł już przed 1620 r. (kościół został zwrócony katolikom), większość ludności pozostała protestancką.

Silniejszym niż w Jastrowiu był niemiecki charakter ewangelicko-żydowskiego Frydlandu (Fredlandek, Frydlandek, polski Frydland, obecnie Märkisch-Friedland). Miasto to od początku XIV. do końca XVI. wieku pozostawało w ręku Wedlów-Fredlandzkich, potem w drodze sukcesyi przeszło do Blankenburgów. W połowie XVI. wieku zaprowadzona we Frydlandzie reformacya trwała niezmiennie przy opiece protestanckich jego panów. Nie rozwinął się zresztą Frydland silniej od sąsiedniego katolickiego Tuczna, które przewyższał w 1772 r. tylko liczbą żydów.

Co do Człopy (sięgającej, podobnie jak Tuczno, pogańskich czasów), to w XIII. i XIV. wieku należała już ona do panów na Czarnkowie i nie popadła, tak jak północno-zachodnia część ziemi wałeckiej [2]) w przejściowe władanie margrabiów brandenburskich, ale osadnictwo niemieckie i tu miało miejsce. Gdy w XVI. wieku Czarnkowscy przyjęli reformacyę, uczynili toż samo mieszkańcy Człopy, późniejsza zaś kontr-reformacya nie odniosła znaczniejszego skutku: w końcu XVII. wieku wizytator biskupi znalazł w Człopie tylko 4 mieszczan katolików, lecz dużo katolickiej ludności służebnej [3]); w chwili zaboru nie było, jak się zdaje, wiele

---

[1]) Fr. Schultz, „*Chronik der Stadt Jastrow*".

[2]) *Territorium Valcense, Districtus Valcensis;* w XIV. wieku „*bona inter Notezam et Kuddam situata*".

[3]) Fr. Schultz „*Geschichte des Kreises Deutsch-Krone*". 1902.

inaczej. Goldbeck w 1783 r. widział w Człopie samych Niemców, z podobną jednak przesadą, jak odnośnie do Tuczna. Nawet nazwiska mieszczan z XVII. i XVIII. wieku, wymieniane w aktach sądowych i innych, nie są tylko niemieckie, zgadzają się zaś sami niemieccy pisarze z tym oczywistym faktem, iż nazwiska niemieckie nosiło wiele nawskroś polskich rodzin. Niewątpliwie protestantyzm podtrzymał w wałeckiem niemieckość mieszczaństwa, pochodzącego z napływu średniowiecznego, a jeszcze w XVI. wieku nie zasymilowanego należycie. Ale i wśród protestantów spotykali się tam Polacy, tem częstsi pośród katolików, mimo nazwisk brzmiących z niemiecka.

Około $^2/_3$ ewangelików w „powiecie nad Notecią" była to ludność wiejska. Według obliczeń naszych wypada jej niespełna dwadzieścia tysięcy na dziewiędziesiąt i kilka tysięcy całej ludności wiejskiej (tyle otrzymamy po odliczeniu ludności miejskiej i żydów od 125.000 ogólnej ludności). Cząstka ewangelików wiejskich znajdowała się w rozproszeniu po wsiach katolickich, jako młynarze, szynkarze, rzemieślnicy wiejscy, owczarze, posiadacze okupnych, czynszowych gruntów, naogół jako ludność wolna. Przeważnie jednak żyli ewangelicy w większych skupieniach, we wsiach obdarzanych, przy tworzeniu ich, specyalnymi przywilejami [1]), które następnie bywały odnawiane. Źródłem powstawania tych wsi było poreformacyjne osadnictwo z końca XVI. i XVII., a także XVIII. wieku. Holsche rozróżnia dwa typy osadników: holendrów i emfiteutów. Wsie, zwane „Holendrami", powstawały zawsze na nieuprawnych dotąd gruntach [2]). Ustrój pierwszych takich osad w Wielkopolsce [3]) wzorowany był na „Holendrach", które już

---

[1]) Fryderyk II. nakazał złożyć wszystkie przywileje, nadane wsiom i miastom Złożono przywileje, najczęściej w kopiach, z 141 miejscowości „powiatu nad Notecią" (Beheim-Schwarzbach, „*Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens*"), przeważnie w łacińskim języku, także w polskim. wyjątkowo tylko w niemieckim.

[2]) Zgadzają się w tem wszystkie źródła i późniejsi pisarze.

[3]) Pierwsza wieś holenderska utworzona została (według Ericha Schmidta „*Geschichte des Deutschtums im Lande Posen*". 1904) przez Przyłubskiego w Przyłubiu (Grätz) w 1594 r. Parę lat później starosta bydgoski osadza holendrów na gruntach bagnistych i w zaroślach nad Wisłą i dolną Brdą; powstają wsie: Łęgnowo (Langenau), Otorowo (Otteraue), Flötenau, Makowiska (Steindorf), Nowy Fordoń. W tym samym czasie osiedla Grudziński holendrów w Kruszynie. Pojawia się dalej, w krótkim czasie, kilkanaście wsi tego rodzaju nad Wisłą i Note-

wcześniej pojawiły się były w Prusiech Królewskich. Holendrzy wchodzili z właścicielem ziemi, jako pewna grupa ludzi, wprost w układ, albo przy pomocy pośrednika, który jednak żadnych szczególnych praw we wsi nie zyskiwał. Gmina wybierała sołtysa, płatnego przez nią. Ważniejsze sprawy rozpatrywało zebranie gminne, a dopiero później szły one do pana. Wszelkie kary pieniężne wpływały do kasy gminnej, gmina zaś udzielała pomocy swym członkom w razie klęsk. Miała gmina prawo przedkupna, gdy który z osadników sprzedać chciał swą posiadłość. Układy z panem były długoletnie (25 do 60 lat), nowe układy zawierane były przez całą wieś. Płacili holendrzy, po upływie lat wolności, roczny czynsz, do żadnych robocizn, podwód, danin, według pierwszych układów nie byli obowiązani. Mieli prawo sprzedaży i zastawu swych posiadłości, byle nowy nabywca te same objął obowiązki. Naogół pierwotny ustrój „Holendrów", szeroki samorząd, jaki im przysługiwał, wykazuje znaczne podobieństwo z prawem holenderskiem, którem rządziły się niderlandzkie osady już w XII. wieku, przez książąt niemieckich na ziemiach słowiańskich zakładane [1]).

Z biegiem czasu, przy odnawianiu układów i powstawaniu nowych osad, warunki dla holendrów stawały się coraz uciążliwsze [2]). Nietylko czynsze podwyższano, ale dodawano do nich robocizny (pewną liczbę dni w roku), daniny, zwózki, wywózki i różne inne obowiązki. Władza sołtysa, zatwierdzanego, czasem wprost naznaczanego przez pana, rosła, stawał się on urzędnikiem dworu, od niego tylko zależnym. W sprawach sądowych apelacya od wyroku sołtysa szła odrazu do pana. Zezwolenie na sprzedaż osady połączone było z różnymi warunkami, a w niemożności ich wypełnienia osadnicy nieraz uciekali. Dziesiąty, czasem piąty grosz od sumy sprzedażnej należał się panu. To pogorszenie warunków

---

clą. W dobrach wieleńskich (które od Górków przeszły do Czarnkowskich w 1592 roku) kasztelan międzyrzecki Czarnkowski oddaje holendrom 35 włók na północ od Noteci na lat 60, powstają stąd 4 wsie: Fulsztyny (Wolsztyn, Follstein), Herburtowo (Erbernia, Ehrbardorf), Mariendorf i Nowe Dwory (Neuhöfen).

[1]) Wersebe „*Ueber die niederländischen Kolonien*". Wyrażenie: „prawo holenderskie", spotyka się w przywilejach, nadawanych osadnikom w kraju nadnoteckim.

[2]) Tylko pierwsze osady, w starostwie bydgoskiem, pozostały przy dawnych przywilejach. W dobrach wieleńskich holendrzy musieli się poddać znacznym ograniczeniom i podwyższeniu obowiązków. Długoletnie układy zamienione tu zostały na emfiteuzę osobistą.

miało, między innemi, tę przyczynę, iż w późniejszych czasach Holendry zakładane były najczęściej w lasach [1]), których karczunek stosunkowo był łatwiejszym, niż odwadnianie i osuszanie błot, budowanie tam i utrzymywanie ich w należytym stanie. W lasach wszakże osady gorzej się rozwijały, poszczególne nadziały bywały mniejsze, wynosiły $^1/_2$, lub nawet $^1/_4$ włóki chełmińskiej (we wcześniej powstających Holendrach zazwyczaj jedną włókę).

---

[1]) Jeden przywilej, z 1758 r., nazywa osadników „*Hauländer*", wszystkie inne znane: Hollandones, Olendry, ludzie „olenderskiego rodu".

Z. Kirkor.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Notatki.

Przez dwa lata wojny poczyniło postępy zbliżenie różnych dzielnic Polski i wzajemne zrozumienie panujących w nich stosunków politycznych. Dzisiaj odrębna taktyka polityczna innej dzielnicy nie budzi już, tak jak dawniej, gwałtownej krytyki; raczej znajduje żywe uznanie. Ustały w Galicyi głoszone publicznie lub prywatnie zarzuty pod adresem Królestwa. Chętnie czy niechętnie, pogodzono się z tem, że Królestwo prowadzi własną politykę, a w każdym razie, że nie potrzebuje do tego rutynowanych aniołów-stróżów z Galicyi. Czasem jednak jakieś niecierpliwe wystąpienie przerwie tę ciszę i zamąci harmonię. Przed kilku dniami np. na zebraniu Koła krakowskiego padły ostre zarzuty pod adresem Królestwa, względnie jednej jego warstwy — szlachty. Dotychczas byliśmy przyzwyczajeni do tego, że gromy tej treści gdzieindziej miały swe źródło. Czasy się zmieniły. „Szlachtę“ w Królestwie atakuje na zebraniu stronnictwa już nie Ignacy Daszyński, lecz hr. Jan Stadnicki, a z jego mową, jak donosi „Czas“, zsolidaryzowało się zebranie.

Hr. Jan Stadnicki, omawiając doniosłość aktu z 5. listopada, wyraził ubolewanie „nad objawami bierności i pesymizmu, które, jak dotąd, charakteryzują zachowanie się pewnych kół ziemiańskich, zwłaszcza szlachty w Królestwie... Co do mnie, to najmocniej ubolewam nad dotychczasowem stanowiskiem szlachty w Królestwie. Ta szlachta, która przez 140 lat będąc sercem i stosem pacierzowym narodu, przechowała i dochowała ideę niepodległości Polski, ta szlachta dzisiaj zajmuje stanowisko bierne, wyczekujące, wahające, zwłaszcza w sprawie utworzenia wojska polskiego!“ Następnie stwierdził mówca, że szlachta powołaną jest w pierwszym rzędzie do utworzenia wojska polskiego; w razie jej bezczynności

zastąpią ją inne żywioły i wtedy, wbrew gorącym pragnieniom mowcy, zostanie wytrąconą poza nawias i „inne żywioły zastąpią ją w Polsce niepodległej“.

Ktokolwiek zna Królestwo z czasów obecnej wojny, zdziwi się przedewszystkiem z powodu zarzutu bierności i pesymizmu. Ani całego społeczeństwa w Królestwie, ani poszczególnych jego warstw, bynajmniej o to obwiniać nie można. Przeciwnie, widzimy tam wielki optymizm, wielką wiarę w przyszłość, której nie mogą zachwiać żadne wypadki. Pesymizm nigdy nie jest twórczym. Jakże więc mogłoby Królestwo rozwinąć tak wszechstronną pracę, gdyby było przesiąknięte pesymizmem. Pod tym względem ziemiaństwo czy szlachta nie wyróżnia się od warstw innych, bierze ochotny udział w pracy państwowo-twórczej, zwątpienia wśród ogółu nie szerzy.

Drugi zaś zarzut: bierności, jest w toku mowy hr. Jana Stadnickiego określony dokładniej. Nie zarzuca on szlachcie w Królestwie ogólnikowo bierności, lecz wymienia bierność w stosunku do kwestyi organizacyi wojska polskiego. A to już nie jest bierność, lecz inne pojmowanie zadań politycznych, inny pogląd na budowę państwa polskiego. Nie chcemy tu podejmować polemiki o te kwestye, lecz jedna wątpliwość się nasuwa. Szanowny krytyk stanowisko Królestwa zna zapewne z pośrednich tylko informacyi, nie wolnych od tendencyjności. Może ktoś tak lub inaczej oceniać stanowisko polityczne Królestwa, tak lub inaczej oceniać siłę zwalczających się w niem kierunków, ale nikt, znający stosunki, nie zechce całej tej sprawie nadawać tła społecznego.

Najpierw niezupełnie słusznie jest tu mowa o szlachcie. Szlachta w Królestwie rozproszyła się po wszystkich warstwach, inteligencya miejska jest w znacznej mierze pochodzenia szlacheckiego, nie brak i między mieszczaństwem dobrych nazwisk szlacheckich. Hr. Jan Stadnicki miał na myśli ziemiaństwo i pod jego adresem skierował swoje zarzuty. Ale ziemiaństwo w Królestwie nie stanowi jakiejś grupy, któraby zajmowała sprzeczne stanowisko z resztą społeczeństwa i stawała w poprzek jego dążeniom. Stanowisko, reprezentowane przez ogół ziemiaństwa, podzielają i inne warstwy społeczne. Ma ono oparcie wśród inteligencyi i mieszczaństwa, wśród ludu i duchowieństwa. Szlachta nie kładzie tu swego veta wbrew opinii większości narodu, lecz tylko wyraża poglądy, które tę większość ożywiają, a którym i inne warstwy nie dwu-

znaczny dawały wyraz. Właśnie w ostatnich czasach zaszły przeobrażenia, które dowodzą, jak mało rozłam polityczny Królestwa ma wspólnego z podziałem na warstwy społeczne. Międzypartyjne Koło Polityczne, które zajmuje stanowisko, zdaje się niemiłe hrabiemu J. Stadnickiemu, opuściła jedna, nieliczna zresztą grupa ziemiańska, tak zw. „Stronnictwo narodowe"; natomiast to zrzeszenie stronnictw, skupiające już przedtem żywioły ze wszystkich warstw społecznych, wzmocniło się przystąpieniem Związku Niezależności Gospodarczej, to jest organizacyi przemysłowców Królestwa i Stronnictwa Chrześcijańsko-Demokratycznego, skupiającego robotników. Ziemiaństwo w Królestwie właśnie dzięki temu, że zajmuje krytykowane przez hr. Stadnickiego stanowisko, pozostaje w żywej harmonii z resztą społeczeństwa. Właśnie stanęłoby z niem w pewnym konflikcie, gdyby poszło drogą, przez niego wskazaną.

Żywioły, które terorem i gwałtowną propagandą chcą opanować opinię publiczną narodu, mimo niepowodzeń stwarzają fikcyę, że „naród" jest za nimi, a po przeciwnej stronie stoi na drodze tylko szlachta, burżuazya i tym podobne wyrzutki. Hr. Jan Stadnicki oczywiście jest dalekim od takich metod politycznych, niemniej jednak tamtym żywiołom swojem wystąpieniem dał broń do ręki, skwapliwie przez nie pochwyconą. Podniecił on przygasający spór dzielnicowy, który tyle szkód wyrządził ogólno-narodowej sprawie. Przyplątał nadto do tego moment społeczny, bez żadnej faktycznej podstawy. Tak więc i najlepsza wola może zejść na manowce, gdy kojarzy się z nią brak szerszego horyzontu politycznego i brak najprostszych informacyi.

* * *

Wielkie zdarzenia, podobnie jak wielkie postacie historyczne, mają to do siebie, że tworzą się dokoła nich legendy. Podobnie ma się rzecz z aktem z 5. listopada, którego genezę i doniosłość dopiero historya lat przyszłych zdoła należycie ocenić. Obecnie jednak nie brak już prób dowolnego niekiedy oświetlania genezy manifestu, nie brak też ludzi, którzy mają pewne pretensye do duchowego ojcostwa nowego Królestwa Polskiego.

Jedną z takich pretensyi podnosi w „Wiadomościach Polskich" (nr. 104) „Głos z Ameryki" p. Jana Brzozy. Twierdzi on, że „do reaktywowania Królestwa Polskiego jeszcze w czasie wojny

przyczynił się w pewnym stopniu" amerykański Komitet Obrony Narodowej, naturalnie „pracując pod kierownictwem N. K. N.".

Jakże to było?

Autor przypomina, że Rosya po upadku powstania listopadowego rządziła w Królestwie na podstawie okupacyi wojskowej. „Paragraf 42. konwencyi haskiej określa okupacyę wojskową stanem jej faktycznego wykonywania. Inny paragraf tej samej konwencyi co do sposobów prowadzania wojny na lądzie zobowiązywał państwa, które tę konwencyę ratyfikowały, do wstrzymywania się przed radykalnem zmienianiem istniejących stosunków prawnych na terenie okupowanym. Połączenie Galicyi z Królestwem w jedno państwo jeszcze w czasie wojny nie dawało się w perspektywie zagranicznej godzić z obowiązującem prawem międzynarodowym. Dało się natomiast godzić reaktywowanie Królestwa Polskiego jeszcze w czasie wojny, ponieważ na miejsce usuniętej okupacyi wojskowej rosyjskiej wprowadzało stan prawny właściwy, okupacyę wojskową poprzedzający. W ten sposób mógł być stworzony punkt wyjścia dla ostatecznego rozwiązania sprawy po wojnie, w czasie układów pokojowych. Byłoby to nie tyle stwarzaniem nowego państwa, ile przystąpieniem do reaktywowania i urządzenia państwa teoretycznie istniejącego, a tylko przez wojskową okupacyę rosyjską zgniecionego. Kwestya ostatecznych granic na wschodzie, jak i kwestya połączenia z Galicyą w tej lub innej formie, to rzeczy dalsze, które mają uledz takiej lub innej decyzyi, czy rewizyi dopiero po wojnie, a nie w czasie wojny, czyli przy ostatecznych układach pokojowych".

Jak widzimy, jest to idea niepozbawiona słuszności; wiemy jednak, że manifest z 5. listopada ani co do założeń prawno-państwowych ani co do granic nowego tworu państwowego nie opiera się na koncepcyi dawnego Królestwa Kongresowego, tylko na świeżych, zupełnie samodzielnych podstawach. Zdawałoby się więc, że punkt widzenia Komitetu Obrony Narodowej nie wchodzi tu bynajmniej w rachubę. Mimo to p. Brzoza podejmuje próbę wykazania pod tym względem zasług delegacyi amerykańskiej N. K. N., co prawda czyniąc to metodą *post hoc ergo propter hoc.* Lwią część zasługi ma oczywiście samże delegat N. K. N. na Amerykę:

„W zimie 1915 roku s k o r z y s t a ł e m ze znajomości z profesorem Kunommeyerem z Berlina (bawi w Ameryce i działa wśród Irlandczyków, ponieważ jako specyalista od języków i historyi cel-

tyckiej cieszy się wśród Irlandczyków wielką powagą), aby go tym kątem widzenia zainteresować. Próba się udała. Poszedł w tej sprawie referat jego osobisty do Berlina i w sferach dyplomatycznych zaczęto się odnosić do sprawy polskiej bardziej konkretnie".

Czy skonkretyzowanie sprawy polskiej w Berlinie mamy do zawdzięczania przedewszystkiem profesorowi Kunommeyerowi z Berlina, który cieszy się rzekomo wielką powagą — wśród Irlandczyków, to jeszcze kwestya, jakkolwiek jesteśmy z całym respektem dla misyi amerykańskiej prof. Kuno Meyera. Coby na to powiedział p. Wilhelm Feldman, który sądzi zapewne, że ma powagę nie tylko w Irlandyi, ale i na kontynencie, a w Berlinie wydaje z ramienia N. K. N. „*Polnische Blätter*", pismo, które ma tak poważną minę, że chyba i ono także przyczyni się do skonkretyzowania sprawy polskiej!

W każdym razie wiemy już, że prof. Kunommeyera zainteresował p. Brzoza. Dalsza rola przypadła naszemu mecenasowi Kułakowskiemu z Warszawy:

„Zachęceni tem powierzyliśmy redaktorowi „Wici" w Chicago, mecenasowi Kułakowskiemu z Warszawy wypracowanie specyalnego memoryału od Komitetu Obrony Narodowej w Ameryce. Memoryał zdecydowaliśmy wnieść do rządu amerykańskiego, do ambasadorów państw centralnych, do ambasadorów koalicyi z wyjątkiem Rosyi i do przedstawicieli wszystkich państw neutralnych w Washingtonie. Pracę nad tekstem memoryału szybko ukończył referent, a komisya poufnie łącznie z delegatem N. K. N. zatwierdziła jego brzmienie po małych poprawkach. Dla delegata N. K. N. pozostała teraz rzecz dalsza, uzyskania audyencyi dla przedstawicieli Komitetu Obrony Narodowej celem wręczenia memoryału".

Uzyskanie tej audyencyi dla delegata N. K. N. nie było jednak rzeczą tak łatwą, jakby się to komuś mogło zdawać:

„Sprawa audyencyi u sekretarza stanu Lansinga, kierownika polityki zagranicznej — Stanów Zjednoczonych, ciągnęła się dość długo. Senator Hitchcock, u którego w maju miałem w tej sprawie przeszło 3-godzinną audyencyę, dał mi do poznania, że Ameryka nie może się mieszać w czasie wojny w tak delikatne sprawy europejskie. Na podstawie tego wywiadu zdecydowaliśmy nie starać się o specyalną audyencyę w Washingtonie, a senator Hitchcock obiecał prywatnie zainteresować kwestyą sekretarza Lansinga. Zrezygnowaliśmy również z planu osobistego wręczenia me-

moryału reprezentantom innych państw, a ograniczyliśmy się do audyencyi u przedstawicieli Austro-Węgier i Niemiec".

Nie obyło się zresztą i tu bez pewnych trudności:

„Po dłuższych pertraktacyach wstępnych zarówno baron Zwiedinek, kierujący obecnie ambasadą Austro-Węgierską, jak hr. Bernstorff, ambasador niemiecki, zgodzili się przyjąć prywatnie delegacyę K. O. N. i memoryał zreferować do Wiednia i Berlina. W pierwszej połowie czerwca obie audyencye odbyły się bardzo pomyślnie i dały sposobność do ustnego poparcia zarówno prawnej jak politycznej strony memoryału. Łódź podwodna „*Deutschland*" przewiozła odpowiednie referaty do Wiednia i Berlina" (*Podkreślenia „Roku Polskiego"*).

Streśćmy się: delegat N. K. N. p. Brzoza wraz z K. O. N. w Ameryce powzięli pewną ściśle określoną koncepcyę wskrzeszenia Królestwa Polskiego. Koncepcya ta została spisana w postaci memoryału. Poznał ją na pewno prof. Kuno Meyer, senator Hitchcock oraz ambasadorowie mocarstw centralnych. Jechała ona też łodzią podwodną „*Deutschland*", a po wylądowaniu — nie weszła w danej formie w życie. Pocóż w takim razie cały artykuł?

Oczywiście nie mamy tu bynajmniej zamiaru podrwiwać z uczciwych intencyi p. Brzozy i K. O. N. Rozumiemy, jak trudną rzeczą jest zainteresować sprawą polską sfery dyplomatyczne i za te usiłowania należy się tym panom wdzięczność i uznanie. Wszelako co innego usiłowania, co innego skutek: dnia 5. listopada dostaliśmy manifest, ale czy pochodzi on z Ameryki?...

* * *

Znakomity uczony prof. Brückner z Berlina wystąpił z ciekawym projektem pedagogicznym na łamach „Nowej Reformy", która jednakże projekt ów dyskretnie umieściła w specyalnym dodatku [1]), nie wiadomo, czy w celu podkreślenia w ten sposób ważności postulatów prof. Brücknera, czy też żeby zaznaczyć *désinteréressement* redakcyi w sprawie *sui generis* „pedagoki stosowanej".

Prof. Brückner spodziewa się w blizkiej przyszłości ściślejszego związku państw i ludów od Bałtyku aż po morze egiejskie i czarne i po zatokę perską. „Wykładnikiem językowym związku

---

[1]) Do nru 630. z 16. grudnia 1916 r.

tego będzie — zdaniem prof. Brücknera — język niemiecki przeważnie“.

Prof. Brückner zapytuje wobec tych horoskopów, jak u nas stoi nauka języka niemieckiego i kreśli odpowiedź w obrazie bardzo ponurym. W końcu zaś konkluduje:

„Doprowadzono u nas do tego, że abituryent z trudem rozumie książkę niemiecką, całkiem jak w Królestwie; że więc na wszechnicy musi się łamać z językiem, zamiast z przedmiotem samym, że potrzeba nam koniecznie podręczników polskich, bo z niemieckimi trudna dla języka sprawa“.

Ostatni podkreślony przez nas fakt jest istotnie nader tragiczny. Doświadczył go na własnej skórze sam prof. Brückner, który skutkiem tego swój niemiecki podręcznik literatury polskiej wydał także po polsku! Nawiasowo jednak śmiemy mimo to stwierdzić, że są u nas tacy, którzy rozumieją dobrze po niemiecku, a jednak nie smucą się wcale z tej „koniecznej potrzeby“ podręczników naukowych polskich.

Prof. Brückner daje więc dwie rady w celu uzdrowienia tych stosunków: 1. należy pomnożyć godziny niemczyzny w szkołach i powiększyć wymagania; 2. Radziłby też „ile możności, dla nauki niemieckiej wprowadzać do szkoły Niemców rodowitych“.

Tu sam prof. Brückner ma pewne wątpliwości: „Wywołam tym może okrzyk oburzenia, ale lepszego sposobu nie wymyśleć“. My jednak nie oburzamy się wcale, tylko sądzimy wbrew zdaniu szanownego profesora, że najlepszego sposobu przez te projekty może jeszcze nie wymyślił.

Nie tu miejsce omawiać pedagogiczną stronę projektu; redaktor „Nowej Reformy“, jako członek Rady Szkolnej Krajowej i pono mąż zaufania Związku Nauczycielskiego mógłby najlepiej poinformować profesora Brücknera, że tendencyą nauczycielstwa galicyjskiego jest zniesienie nauki języka obcego w szkołach ludowych — właśnie ze względów pedagogicznych! Za tem musiałoby pójść z konieczności także obniżenie poziomu nauki języka niemieckiego w gimnazyach.

A dalej: szkołą dobrą jest wprawdzie przedewszystkiem szkoła, która dobrze uczy, która daje rzeczywistą widzę w danym kierunku. Ale dobra szkoła — jest to również szkoła, która dobrze wychowuje, czyli która daje wychowanie narodowe. Nie wiemy, o ile wybitne talenty pedagogiczne niemieckie

zechciałyby się osiedlać właśnie w Galicyi jak nauczyciele języka niemieckiego, ale mamy pod tym względem pewne wątpliwości. Prawda, że „*spiritus flat ubi vult*". Epoka obecna jest epoką surogatów: „*Butter-Ersatz*" smakujące jak prawdziwe masło, surogaty mięsa i kawy polecane są przez „powagi lekarskie", widzieliśmy synów Marsa i Bellony, którzy w razie potrzeby potrafili administrować powiatem lepiej pono od najlepszego starosty; na tej podstawie sądzimy, że n. p. feldfebel-inwalida może się stać bardzo dobrym germanistą, o ile notorycznie pochodzi z Jägerndorfu albo z Innsbrucka, a takiego materyału po wojnie na pewno nie braknie. Nie obawiamy się nawet o stanowisko takiego importowanego germanisty w gronie nauczycielskiem. Sądzimy, że przy sprzyjających okolicznościach może ono być zupełnie poważne, a nawet bardzo wpływowe, może wpłynąć na skuteczność wychowania w duchu urzędowych ministeryalnych wskazówek.

Czy jednak nienaganny akcent Roseggera, jaki przyniesie z sobą ów pedagog, nie zaakcentuje zbyt jednostronnie wspomnianego programu n a r o d o w e g o nauczania? — — —

Na to pytanie szanowny projektodawca zapomniał odpowiedzieć.

Parvus.

Sprawozdania.

W sprawie pochodzenia matki A. Mickiewicza, poruszonej w artykule p. St. Pigonia w zeszycie październikowym „Roku Polskiego", otrzymaliśmy następujące uwagi od p. Jana Strojka, prof. gimnazyum w Brzesku. które poniże podajemy:

Według p. St. Pigonia pierwszy raz podniósł kwestyę pochodzenia matki A. Mickiewicza Fr. Ksaw. Branicki w swej przedmowie do przekładu hebrajskiej elegii historycznej z czasów Chmielnickiego: „Brama pokuty" napisana „przez znakomitego rabina Gabryela syna Jozuego, Herschel Schlossberg". Wyszło to w Paryżu w r. 1879, a więc w 24 lat po śmierci Mickiewicza, wiadomość sama ma pochodzić z ust samego Mickiewicza, a kwestya dopiero od tego czasu stała się, jak to mówią, „aktualną" i przedmiotem roztrząsań literackich.

Tymczasem istnieje dokument literacki, o wiele wcześniejszy, który wskazuje, że już za życia Mickiewicza istniały pogłoski o niepolskiem pochodzeniu matki Mickiewicza.

Leon Zienkowicz, wybitny członek demokracyi polskiej na emigracyi, którego rzeczy niektóre wyszły także w bibliotece polskiej Brockhausa w Lipsku, wydawał czasopismo satyryczne p. t. „Album Pszonki" między rokiem 1839 a 1845 w duchu swojego stronnictwa, t. zn. że między innemi zwalczał gwałtownie Mickiewicza w okresie towiańszczyzny. Samego czasopisma nie mam pod ręką, ale za to w mojem posiadaniu znajduje się wydanie książkowe artykułów „Pszonki" i z niego podaję następującą informacyę, interesującą nie tylko ze względu na pochodzenie matki Mickiewicza, lecz także ze względu, że jest to — co prawda złośliwe — jedno z pierwszych tłumaczeń sławnej liczby 44, o której i obecnie dosyć pisano.

Notatka w wydaniu książkowem „Albumu Pszonki", umieszczona na str. 539 i 540 brzmi następująco (podkreślenia są autora, nie moje):

„Powiadają, że Towiańszczycy tak teraz tłumaczą ono sławne Mickiewicza 44:

Mąż straszny ma trzy oblicza,
On ma trzy czoła.
Nad ludy i nad króle podniesiony,
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony.
Z matki obcej — ród jego wielkie bohatery,
A imię jego czterdzieści cztery.

Jezus Chrystus — głosek 13 — z ludu żydowskiego — korona poświęcenia, [cierniowa.
Napoleon Bonaparte — głosek 17 — z ludu francuskiego — korona panowania, [cesarska.
Adam Mickiewicz — głosek 14 — z ludu słowiańskiego — korona sławy, [laurowa.

Razem trzy oblicza — głosek 44 — trzy ludy — trzy korony.

A komuż nie wiadomo, że Mickiewicz na kursach swoich wyprowadzał na scenę trzy ludy, mająca wkrótce wielką rolę odegrać — Żydowski, Francuski i Słowiański? że matka jego z rodu obcego — w którym przodki jego, czemużby być nie mogły wielkie bohatery? że ma trzy oblicza, trzy czoła — bo czyż jako dopełnienie Chrystusa i Napoleona, z swoją Messyaszowską Mością, trójcy nie jednoczy w sobie? że nakoniec, na trzech stoi koronach a sam bez korony, tem się tłumaczy — że w spadku dostały się mu dwie korony: męczeńska po Chrystusie i cesarska po Napoleonie, trzecia zaś jego własna — laurowa, poetyczna, a że o tę mniej dbając, sam ją w czasach ostatnich z głowy swojej zerwał i zdeptał — a więc dziś bez korony".

Nie wdając się w osądzanie owego liczby 44, widzimy jednak, że jedną z podstaw służących do umieszczenia właśnie Mickiewicza pod liczbą 44 jest przypuszczenie, że Mickiewicz pochodził z rodu obcego po matce, czyli że już na Emigracyi w roku (najpóźniej) 1844 istniała pogłoska o niepolskiem pochodzeniu Mickiewicza po kądzieli.

Wprawdzie powyższa notatka nie mówi wyraźnie o pochodzeniu żydowskiem mówi tylko o obcem. Kto zna jednak ówczesne pojęcia polityczne demokracyi polskiej na emigracyi, musi z góry odrzucić, aby pod pojęcia obcości podciągali przynależność do Litwy lub Białorusi. Pozostaję więc jedynie Moskale i Żydzi. Gdyby autor „Pszonki" posądzał Mickiewicza o pochodzenie rosyjskie, z pewnością w walce przeciw niemu (bardzo ostrej, p. w tym samym Albumie artykuł na stronie 150 „Komedya nieludzka" we trzech aktach, pomijając już cały szereg innych ataków) Zienkowicz nie byłby pominął tak wygodnej sposobności zaczepienia Mickiewicza i to w sposób bezwzględny. Pozostaje pochodzenie żydowskie. Otóż demokracya polska na emigracyi była filosemicka i tu zgadza się autor powyższej notatki zupełnie z sobą i programem swego stronnictwa: chociaż wie (lub mu się zdaje), że matka Mickiewicza pochodzi z żydów, nie robi nigdzie z tego żadnego zarzutu, bo to by się z programem stronnictwa nie zgadzało, stwierdza jedynie, że pochodzi z rodu obcego.

Jan Strojek.

Rzeczy nadesłane do Redakcyi.

W. Bojomir, *Messyanizm Polski a Kościół katolicki.* Str. 47. Kraków 1916.

— *Na przełomie dwóch epok.* Str. 24. Kraków 1916.

Logos, Wydawnictwo poświęcone idei messyanicznej polskiej I. Str. 34. Kraków 1916.

Stanisław Kutrzeba, *Historya ustroju Polski w zarysie.* Tom. III. *Po rozbiorach.* Str. 335. Lwów 1917.

Dr. Antoni Peretiatkowicz, *Państwo współczesne.* (Z cyklu Powszechnych wykładów Uniwersyteckich „O Państwie") Kraków 1916.

Konstanty Buszczyński, *Wrażenia z Ameryki.* Str. 96. Kraków 1916.

Dr. Tad. St. Grabowski, *Białorus pod rządami Rosyi.* Str. 39. Kraków.

— *Ruś-Ukraina, a rządy rosyjskie.* Str. 46. Kraków.

Fr. Rawita-Gawroński, *Obszar, zaludnienie i tworzenie się kozaczyzny.* Str. 70.

Kazimierz Missona, *W poszukiwaniu szkoły nowej.* W Krakowie 1916.

Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

Ks. I. S. Adamski, *Opatrzność boża, a Polska w ucisku.* 1916.

E. Bogusławska, *Życie mrówek i ich mrowiska.* 1916.

K. Dickens, *Dombi i Syn.* Tomów III. 1914.

Ant. Domańska, *Królewska niedola.* Powieść z czasów Króla Łokietka. 1916.

Teodor Jeske Choiński, *Gasnące słońce.* Powieść z czasów Aureliusza. Tomów II. Wydanie nowe 1916.

— *Psychologia renesansu włoskiego.* Str. 106. 1916.

Widziały to sępy, kruki. Wybór nowel wojennych z przedmową Stanisława Lama. Str. 175. 1916.

Florence Montgomery, *Niezrozumiemy.* Przetłomaczyła W. L. Mikułowska. 1916.

TREŚĆ

Rocznika pierwszego „Roku Polskiego“.

*) Cyfry rzymskie oznaczają numer, a arabskie stronicę.

Notatki i Sprawozdania w każdym numerze.